



KURS KREATYWNEGO PISANIA

Miasta Literatury UNESCO

ANTOLOGIA
2015

kraków
CITY OF LITERATURE
UNESCO



**KURS
KREATYWNEGO
PISANIA**

Miasta Literatury UNESCO

krakow
CITY OF LITERATURE
UNESCO

kb^f★

Spis treści

WSTĘP | 4

TEKSTY WYRÓŻNIONE | 7

Ołena Cikuj – Rusałka | 8

Ahsan Ridha Hassan – Smutas | 16

Elżbieta Łapczyńska – Dystrykty | 25

POZOSTAŁE TEKSTY | 32

Małgorzata Babula – Piętno | 33

Anna Bąk – 30 pytań Hanny | 43

Natalia Doległo – My trzydziestoletni | 50

Anna Dutka – Marianna | 59

Joanna Fiakier-Krakowski – Love w Krakowie | 68

Anna Jarmuła – Zginiesz w południe | 77

Maria Karpińska – Poptoch | 84

Przemysław Koza – Przechodziłem z tragarzami | 91

Jakub Statnik – Odśwież | 99

Monika Szylar – Przerwane rytuały | 106

Kurs Kreatywnego Pisania Miasta Literatury UNESCO | 112

Czy można nauczyć pisania?

Bądź sadystą. Bez względu na to jak stódcy i niewinni są twoi główni bohaterowie, spraw, aby przydarzyły im się straszne rzeczy.

— KURT VONNEGUT

Nigdy nie otwieraj powieści opisem pogody.

— ELMORE LEONARD

Nie jesteś Proustem. Nie pisz długimi zdaniem.

— UMBERTO ECO

Rozciągaj plecy. Ból w krzyżu dekoncentruje.

— MARGARET ATWOOD

W Internecie roi się od porad dla początkujących pisarzy. W ich kolekcjonowaniu przoduje Maria Popova, autorka kultowego bloga Brain Pickings. Gromadzi tam całe listy wskazówek, rankingi, a nawet analizy nawyków najstynniejszych autorów. Na blogu Popovej można na przykład znaleźć zestawienie, w jakich godzinach najchętniej tworzyli wybitni pisarze (wynika z niego, że najbardziej produktywny czas to godziny wczesnoporanne).

Dla odmiany Jonathan Franzen zalicza pytanie o porę dnia sprzyjającą pisaniu do najgłupszych, jakie zadają dziennikarze. Kultowy amerykański pisarz odwiedził Kraków w październiku 2015 roku, by wygłosić wykład w trakcie gali wieńczącej pierwszą

edycję Nagrody Conrada (ustanowiono ją, by wyróżniać autorów najlepszych literackich debiutów). Franzen, wykładowca i zwolennik kursów kreatywnego pisania, obalił wiele mitów na temat tego, jak pisać. Ci, którzy liczyli, że wybitny pisarz zdradzi im sekrety swojego warsztatu i wskaże drogę na skróty do sukcesu, musieli przeżyć zawód: „literatura to ciężka praca” – podsumował swój wykład.

My uwierzyliśmy, że to dobra wiadomość. Uwierzyliśmy w to, że pisarza można wychować, a literacki talent da się kształtować i rozwijać. Właśnie dlatego w Programie Wspierania Debiutów Literackich, który ogłosiliśmy w Krakowie w czerwcu 2015 roku (obok Krakowskiego Biura Festiwalowego stoją za nim Instytut Książki i Fundacja Tygodnika Powszechnego), obok Nagrody Conrada i programu grantowego Promotorzy Debiutów znalazł się właśnie kurs kreatywnego pisania organizowany pod szyldem Krakowa Miasta Literatury UNESCO. Nie mamy wątpliwości, że Kraków – ojczyzna nowożytnej polszczyzny, miasto noblistów i stolica polskiej literatury – musi nieustannie inwestować w młodych pisarzy.

Do prowadzenia zajęć zaprosiliśmy czołowych polskich autorów. Ale że za sukcesem pisarza stoi nie tylko literacki warsztat, w ramach naszego kursu odbyły się również zajęcia z psychologami twórczości, specjalistką od prawa autorskiego, ekspertem od wizerunku i wystąpień publicznych, agentami literackimi i przedstawicielami czołowych krakowskich wydawnictw: Znaku, Wydawnictwa Literackiego i Ha!artu.

Uczestników kursu wyłoniliśmy na podstawie próbek tekstu. W ciągu miesiąca rekrutacji otrzymaliśmy ponad sto zgłoszeń z całego kraju: kandydatów nie zraziła ani opłata rekrutacyjna, ani konieczność weekendowych podróży do Krakowa. I dobrze – determinacja to cecha, której początkujący autor potrzebuje najbardziej.

Co jeszcze przydaje się w tym zawodzie? W sierpniu poprosiliśmy kilkudziesięciu pisarzy o wskazówki dla początkujących kolegów po piórze. Być może najsensowniejszej udzieliła Dominika Słowik – autorka najgłośniejszego debiutu literackiego w 2015 roku, mówiąc: „Nie słuchajcie żadnych rad!”.

Zapraszamy do lektury tekstów napisanych przez absolwentów pierwszej edycji kursu. To fragmenty opowieści, które właśnie powstają – lub być może powstaną w pełnej krasie pewnego dnia. Jest wśród nich historia o niemożliwej miłości, a także o ciemnych stronach tego, co czasem na wyrost określa się patriotyzmem; opowieść kryminalna w realiach pogranicza polsko-ukraińskiego czy wreszcie niesamowite przygody kobiety, która po 90. urodzinach postanawia zrealizować swoje marzenia. Zbiór otwierają trzy teksty, które naszym zdaniem szczególnie się wyróżniają, ale bez wątplenia każde z prezentowanych tu opowiadań zasługuje na uwagę i niejednym zaskoczy czytelnika.

Mamy nadzieję, że wykiętkują z nich wspaniałe powieści, które podbiją serca literackiej publiczności. Jesteśmy przekonani, że już niebawem autor jednego z zawartych tu tekstów sięgnie po Nagrodę Conrada – i że będzie to jedynie pierwszy z wielu literackich laurów w jego karierze.

Przyjemnej lektury!

Jakub Kulasa



**TEKSTY
WYRÓŻNIONE**

Ołena Cikuj

Rusałka

REKOMENDACJA ORGANIZATORÓW KURSU

Wielu chce pisać kryminały, jednak niewielu potrafi podejść do tematu z takim wyczuciem konwencji i tak dobrym warsztatem. Rusałka wydaje się tekstem doświadczonej pisarki. Autorka doskonale wczuwa się w realia pogranicza polsko-ukraińskiego, a wiarygodność dodatkowo podkreślona jest realistycznym portretem psychologicznym głównej bohaterki – wyrazistej dziennikarki. Cikuj opowiada też o ciemnych stronach czegoś, co czasem na wyrost określa się patriotyzmem. Wszystko to buduje wrażenie autentyczności tej powieści i wzbudza natychmiastową chęć przeczytania jej do końca.

Ze zwyczajów dawnych Słowian:
Kiedy człowiek tonął, wówczas go nie ratowano, aby
w ten sposób nie ostabić wody.

To sen. Domyślam się w momencie, kiedy sięgam do kieszeni i zamiast papierosa wyciągam z niej piłę. Ale mnie to nie dziwi, tak jakbym sama tę piłę do kieszeni spakowała. Lecz zanim wyciągam z kieszeni piłę, idziemy wszyscy na mecz Polska – Ukraina, jak zwykle do baru Jaremy Michajłowicza z lwowskim piwem i suszoną morską rybą. Ciemność wkoło gęsta, nieprzejezdna. Ale na razie nawet nie podejrzewam, że to sen. Wchodzimy do środka.

Lecą jeszcze reklamy, a nasze miejsca już zajęte. Biało-czerwoni siedzą w fotelach, rechoczą, piją piwo, mrugają do siebie porozumiewawczo. Robi się duszno. Jaremy Michajłowicza nigdzie nie widać. Reklamy odliczają czas. Są coraz krótsze, coraz bardziej kolorowe.

Nagle Wasylka pada na kolana i zaczyna modlić się o nasze zwycięstwo. Modli się, jak nas uczono, starannie składając palce w imię Sviatoji Trojci, trzykrotnie wykonuje znak krzyża. Jeden z tamtych wstaje, kopie Wasylka w brzuch i każe mu modlić się po ludzku. Wtedy sięgam do kieszeni po papierosa. Dotykam zimnej i płaskiej powierzchni. Kilkakrotnie przesuwam palcem po ząbkowanym brzegu.

Ich bramka. Jeden z nich zamiast po piwo, sięga Oksanie pod spódnicę. Ktoś tłucze szklankę, ktoś bierze w rękę szkło i podrywna nim czyjeś gardło. Oni i my, wszyscy wyciągają z kieszeni noże, widły, siekiery i piły. Czy wiedzą już, że to sen? Odcięte palce, piersi i języki w jednej chwili pokrywają podłogę.

Mecz się kończy, na ekran telewizora wstępuje Bóg i bojaźliwe, otyłe anioły chowające się za jego plecami. Bóg chrząka z zakłopotaniem i wyłamuje sobie nerwowo palce, a ja zastanawiam się, co się robi z odciętą ludzką głową. Zaczynam od spojrzenia. Zmu-

szam się, by spojrzeć – ma białe oczy, lśniąco jak mydło. Widzę je wyraźnie, bo stoty, sufit, podłoga – wszystko jest czerwone. Moje oczy muszą się długo przyzwyczajać, dłużej, niż kiedy przyzwyczajają się do światła czy ciemności. Spod zmrużonych powiek dostrzegam, iż wszyscy oni, biało-czerwoni, nie żyją naprawdę, a my z dziurkami w głowach i z dziećmi wyszarpanymi z brzuchów, z dziećmi na smyczach z pępowiny zbieramy odcięte palce i języki, podnosimy się i wychodzimy. Moje buty są ciężkie, jakby były pełne ziemi...

Larysa przerywa opowieść, kiedy orientuje się, że mężczyzna już dawno przewrócił się na drugi bok i zasnął. Nie pamięta nawet jego imienia. Marek, Kevin czy Anton, wszystko jedno. Naciąga na siebie koc i zasypia znowu. Potem śni jeszcze o kanibalu, który zjada ją po kawałku, a przy tym śpiewa piosenkę Luli-luli banderówko, sucza córko, lepiej schowaj się pod tóżko. Larysa budzi się w chwili, gdy odkrawa jej kawałek łydki. Rozciera palcami skórę do różowości. Skurcz. Brak jednej z witamin, nie pamięta jakiej. Naciąga t-shirt i majtki. Waha się chwilę, zanim sięga do kieszeni po papierosa. Jest czwartek, czwarta rano.

(...)

Olga Smolna wychodzi za mąż – ta myśl nie daje Larysie spokoju. Myśli o tym, wsuwając stopy w sandały, biorąc smycz i przywołując Barbusa. Barbus przybiega, merdając nieśmiało ogonem. Patrzy na nią z niedowierzaniem, jakby od lat wychodził z domu tylko w snach. Larysa gładzi go po nosie, zapina smycz, puszcza przodem. Wychodzą w ciemną, ciepłą noc. Idą nad rzekę, jedyną ruchomą rzecz w tym mieście, jego środek, jego puls.

Olga, w której domu nie zamykało się za sobą drzwi, Olga, której ojciec regularnie czytał pamiętnik i sprawdzał w nim błędy

ortograficzne. Olga, która w dzieciństwie była dumna z siniaków, lubiła ich zmieniające się kolory, mówiła, że to takie podskórne kwiaty. Olga, która nauczyła ją, Larysę, szczypać tak, by bolało, która zdała do trzech szkół teatralnych, choć rodzice załatwili jej już miejsce na medycynie. Zawsze Olga, nigdy Ola. Ślub Olgi Smolnej i Petra Holubca ma się odbyć jutro, ślub, a potem tradycyjne ukraińskie wesele.

Larysa idzie i śmieje się głośno, śmieje się z szyldu Taxi Kresy, z kamienic z dykty, z miasta wypętnionego oczekiwaniem, przeciągając się w nieskończoność ciszą przed burzą.

(...)

Babcia, zupełnie jak kiedyś, powtarza Larysie: „Wszystko, tylko mazura mi do domu przypadkiem nie przyprowadź. Bo taki to ci zawsze powie po latach – wypierdalaj, ty Ukrainko. Taki to zawsze nieszczęście”. Kiedyś Larysa przyprowadziła więc Zahara, lwowianina z krwi i kości, o szarych oczach i dużych dłoniach. Przy pierwszym spotkaniu Larysa czekała na jego uśmiech, żeby sprawdzić, czy nie ma złotych zębów. Nie miał. Lubił w Larysie czyste paznokcie, a ona lubiła momenty, kiedy dziwił się tabędziom i kaczkom nad miejscową rzeką. „U nas dawno by je zjedli” mówił, a Larysa się śmiała. Spędzili ze sobą kilka miesięcy, potem powiedział: „Proszczawaj, moja Laszko – solodiaszko”.

Podczas kolacji u babci Larysa słyszy jeszcze „kury, gęsi, kaczki, wszystko zostało... gęsi, kaczki, kury... na gotowe przyszli... wszystko zabrali... kury, kaczki, gęsi... konie, krowy, króliki...”.

Nic dziwnego, że pojawiają się w nocy, nagle, nie wiadomo skąd: chatupy jej wysiedlonych przodków. Idą w jej stronę na kurzych stopkach o zakrzywionych pazurach, na wybrakowanych nóżkach wszystkich kur, kaczek, gęsi, które tam po przodkach zostały. Po ptakach zostały same łapki, same obgryzione do kości

nóżki, bo ich mięso niebawem zjedli nawiezieni, ich pierze poszło na poduszki i pierzyny dla tych, co przybyli, i jeszcze długo potem grzało ich obce, śpiące spokojnie ciała. Ciała „mazuriw”, jak mówi o nich babcia. Ale we śnie Larysy ich nie ma. We śnie Larysy są tylko kurze, kaczki i gęsie łapki z gnójem za zakrzywionymi pazurami. Zamiast kuprów chyboczą się na nich puste chałupy o podkrążonych oknach i zimnych kominach. Idą z Holuczkowa, Ulhiwka, Perewodowa. Idą z Werhraty, Dykowa, Korkowa. Po nią idą. Nie wydają żadnego dźwięku, zupełnie nieme gonią ją do prostej kreski horyzontu. Do samego rana.

Następnego dnia Larysa idzie na basen. Wchodzi do błękitnego czyścica, nie po to, by popywać, ale by posiedzieć w ciszy na dnie. Siedzi tak do kolorowych plam pod powiekami. Tak długo, by stracić zapach. Ale nie da się stracić zapachu na zawsze. Po basenie czuje się czysta jak po spowiedzi. Z każdym krokiem, z każdym oddechem – coraz mniej.

(...)

W sobotę budzi się późno, w łóżku, w którym przespiała dzieciństwo. Łóżko jest dla niej za krótkie od lat. Przez chwilę nie ma pojęcia gdzie jest, dopiero kiedy jej wzrok pada na walizkę przy drzwiach, pamięć wraca. Ostatni wieczór, ognisko i policjant Adaś eskortujący ją do domu. Przeciąga się i znów patrzy na walizkę. Jutro wyjeżdża, więc nie ma sensu już się rozpakowywać. Podnosi wieko, wyjmuje, co potrzebne, zatrząskuje i stawia z powrotem przy drzwiach. Walizka zdaje się oczekiwać wyjazdu tak samo, jak oczekuje go Larysa.

Po południu idzie nad rzekę. Popatrzeć. Upewnić się, że nic w tym mieście już jej nie zaskoczy. W lipcowym słońcu roślinność nabrzeżna jest jadowicie zielona, a ludzka skóra różowieje.

Wszystko rozpoczynają występy lokalnych zespołów tanecznych i wokalnych. Na początku naokoło rozstawionej w pośpiechu sceny kręcą się rodzice i nauczyciele. Z biegiem czasu widowni przybywa.

Od czasu do czasu ktoś rozpoznaje w Larysie Łesię. Łesię – grubą, wredną dziewczynkę, nieznoszącą śpiewania na apelach. Nienawidzi zdrobnienia „Łesia”, choć powinna być z niego dumna, przynajmniej każdy tak tu mówi: „To taki zaszczyt mieć na imię tak samo jak nasza największa poetka”.

Larysa spotyka koleżanki z klasy. Prawie każda popycha już przed sobą wózek i co chwilę wyciera czekoladowe ślady z policzków dzieci. Rozmowy o laktacji zwyczajnie się nie kleją, podobnie jak rozmowy o filmach, podróżach, książkach czy o czymkolwiek innym. Każda młoda matka nie ma czasu na nic oprócz dziecka. I każda wydaje się być z tego dumna.

W końcu zapada ciemność i coraz mniej ludzi krzyczy za nią: „Łesiu, to ty? Nawet połowa z ciebie nie została!”. Larysa wypija kilka kieliszków z nieletnimi i schodzi nad rzekę. Na oświetlonym przez pochodnie brzegu gromadzi się coraz więcej ludzi.

Ceremonia nie trwa długo. Trochę śpiewu, kilka dziewcząt w lnianych, wyszywanych koszulach. Niektóre wianki od razu toną w ciemności; niektóre przez chwilę utrzymują się na wodzie. Kilku chłopców, śmiejąc się, rzuca się w tę ciemność. Wychodzą cali mokrzy, na brzegu zrzucają z siebie ubranie. Mają chude, twarde ciała.

Jest już zupełnie ciemno, kiedy Larysa staje nad wodą w zupełnej ciemności, z dala od wszystkich. Po ostatnich burzach rzeka w niektórych miejscach aż kipi z wściekłości. Dziewczyna patrzy w huczącą wodę. Robi jej się chłodno, zakłada kurtkę, odruchowo sięga do kieszeni. Wtedy sen powraca. Larysa waha się chwilę, zanim wyciąga papierosa. Z zarośli słychać chichoty, westchnienia, śpiew, odłamki przekleństw. Larysa czuje na ramionach gęsią skórę.

– Cześć – słyszy zza pleców głos Adasia.

Dziewczyna szybko przykłada palec do ust.

Patrzą oboje na niewielką figurkę w białej, lnianej koszuli rozglądając się czujnie na boki. To Natalka, najmłodsza z córek Czornocho. W rękach trzyma wianek, większy niż ona sama. Natalka Czorna, tak smutna przez cały wieczór – matka zabroniła jej rzucać wianki i śpiewać pieśni o miłości. „Jeszcze nie musisz szukać męża” powiedziała, choć wszystkie koleżanki z klasy Natalki mogły wziąć udział w obrzędzie.

Dziewczynka schodzi na brzeg z wiankiem większym niż ona sama, zaciska palce na gałęziach wierzby. Nikt, oprócz Larysy i Adasia, nie słyszy jej krzyku, kiedy nagle jedna z witek się urywa, a dziecko, razem z wiankiem, wpada prosto w czernię.

O KSIĄŻCE

Larysa Tancowna przyjeżdża do rodzinnej miejscowości na wschodzie Polski. W niedzielę nad ranem z rzeki wyłowione zostają pozbawione palca zwłoki Olgi Smolar, która tę noc powinna spędzać na własnym weselu. Dwa dni później na ukraińskim cmentarzu wojskowym zostaje odkryte ciało byłego chłopaka Olgi – Filipa. Larysa i Adam, lokalny policjant, rozpoczynają prywatne śledztwo.

Rodzina próbuje ukryć to, co wydarzyło się na weselu. W toku śledztwa prawda wychodzi na jaw – weselo miało posłużyć Oldze do zemsty na swoim ojcu, który zapłacił Filipowi za zerwanie stosunków z dziewczyną. Plan Olgi wymyka się jednak spod kontroli.

Przed ślubem Olga spotyka się z Filipem. W wyniku kłótni rani go i zostawia. Olga bierze ślub, podczas weselnej przemowy ośmiesza rodzinę i oskarża konserwatywną społeczność. Wychodzi z wesela; odjeżdżając, nie spodziewa się, że pijany ojciec jedzie za nią. Dochodzi do wypadku; ranny zostaje ojciec dziewczyny. Na miejscu wypadku pojawia się matka chrzestna Olgi, nauczycielka, która nigdy nie miała odwagi przeciwstawić

się ustalonym przez konserwatywne środowisko zasadom. Nie pozwoli na to również swojej bratanicy. Szalona kobieta topi oszołomioną dziewczynę w rzece i odcina palec z tak cenną dla niej, samotnej starej panny, obrączką.

Ahsan Ridha Hassan

Smutas

REKOMENDACJA ORGANIZATORÓW KURSU

Błyskotliwa, dowcipna i oryginalna – takiej powieści nam trzeba, a Ahsan Ridha Hassan obdarzony jest świetnym słuchem językowym i znakomicie radzi sobie z tworzeniem nietuzinkowych postaci. Panuje nad fabułą, snuje wątki w wyrafinowany, a jednocześnie przejrzysty dla czytelnika sposób. Bierze na warsztat współczesnego młodego człowieka, wrzuca go w wir pracy, rodziny, uczuć, i przygląda mu się z mieszaniną czułości i ironii. Potrafi w jednym fragmencie oscylować między groteską a niemal mistycznym objawieniem. To autor wszechstronny, który chce próbować różnych form literackich, a że ma prawdziwy talent, z pewnością mu się to uda.

Bużanka

To nie było tak, że impreza mnie nudziła, że wtedy siedziałem tam, w zajedworku wynajętym na zajemelanż dla naszej zajefirmy – a jak wiadomo, wszystkie rozwijające się firmy krajowe, wzorem starszych kolegów z Zachodu albo jeszcze starszych cór Koryntu, gdy zaczynają obsługiwać zajeklientów, robić im zajedobrze za zajekasę, muszą, po prostu muszą się zajehucznie i zajęgłośno wyszaleć – że wtedy właśnie, na jednej z czterech rocznych imprez integracyjnych, byłem w dworku na wygwizdowie za Białą Podlaską, a chwilę później, w owym krótkim czasie siedziałem skitrany w tataraku nad rzeką, nad Bugiem, po polskiej stronie granicy. W jednej chwili stałem z kieliszkiem wódki w dłoni, otoczony gronem handlowców i prezesów; w kolejnej podglądałem roz-bierającą się dziewczynę po drugiej stronie rzeki granicznej. Przez kwadrans byłem zanurzony w otoczeniu tych wiecznie uśmiechniętych, odpicowanych psów gończych na klientów, klepiących mnie w ramię, mówiących międzywierszem, czyli handlową mową potoczną: twoje zdrowie, Marcin, nasz ty najlepszy kierownik projektu, napij się, napij się jeszcze, rozpuść się w wódce i w naszej firmie, zostań z nami na zawsze, abyśmy byli pewni, iż projekt zamkniesz i w czasie, i w terminie, i w budżecie, a my ciębie tu, kolego, zamkniemy w naszym gronie. Przez kolejny, inny zupełnie kwadrans zanurzałem się po kostki w wodzie, po szyję w trawie rzecznej i po uszy w zjawisku, którym stała się obca na-gość dziewczęcego ciała, obca w każdym znaczeniu: i fizycznym – bo daleko, na szerokość rzeki, i geograficznym – bo na Białorusi nigdy nie byłem, i cywilizacyjnym – bo tam wciąż tkwili w bloku wschodnim, niemal widziałem błysk łusiny Łukaszenki, a tu już dawno niepodlegli, bo wąż Wałęsy, bo długopis z Janem Pawłem,

bo nam się udało. W tamtym gronie prezesi wódką toasty wznosili, a każdy toast to jedna tonacja czerwieni więcej na mordzie i jedna więcej obietnica awansu, żeby już do szpiku mnie staruchy z krwi wysały, mnie – instrumentum vocale z gębą Marcina Smutasa pinezką przytwierdzoną. A tu w otoczeniu pałek tataraku i liści i rozmaitych żyjątek rzecznych, w tym ważek i znienawidzonych komarów, które mają krew z procentami raz po raz spijały, bankiet sobie urządziły, zajemelanż integracyjny, starałem się, by pinezka z gębą Marcina Smutasa nie odpadła, bo zupełnie nie wiedziałem, co wyrabiam, sobą już nie będąc. Słowem, chwilę wcześniej wcielałem się w klakiera imprezy integracyjnej, a teraz dezintegrowałem się przygarbiony w tataraku, po kostki w wodzie. I podglądałem. Młodą dziewczynę z Białorusi. Nagą.

Jak tu trafiłem? Na początku pojawił się impuls. Wściekłość. Po co tu sterczę? Nie przepadałem za tymi ludźmi, nie przepadałem za pobieżnymi znajomościami z pracy, quasi-przyjaźniami. Byłem miły, bo dostawałem za to pieniądze. Ale wspólny wyjazd? Kiedyś wycieczki szkolne traktowałem jako ostateczność. Mus to mus. Autobus ogórek, łobuzy z tyłu, pani z przodu i jedziemy, hejże, wycieczko szkolna! Hejże, przygodo! Bezkształtna masa, śmierdząca słodkim szkolnym potem, kanapkami owiniętymi pieczołowicie w rozmakający papier, rozlanym soczkiem z kartonika i cuksami. Teraz zbyt wiele się nie zmieniło. Łobuzy: zarząd i handlowcy, pani – nasz HR manager, bezkształtna słodka masa – reszta, czyli my, czyli ja wśród nich. Nie po to przejechałem pół Polski, żeby dalej tkwić tutaj z nimi wszystkimi, z ich problemami i podnietami, z romansami i zdradami, bo wyjazd integracyjny, bo można trochę spuścić z tonu, poluzować krawat, garsonkę, rozporek. Znalazłem się w końcu przy granicy, przy dzikiej, niemalże dziewiczej granicy. Musiałem odetchnąć, wyjść. Chociaż na chwilę. Kraków włóknął się za mną jak widmo.

A potem poszło z górki. Mieszanina przypadku, chęci ruszenia do przodu i próby zachowania równowagi. Święta trójca czynników, które do tej pory wyznaczały ścieżki mojego losu. Chciałem przejść się gdzieś nad rzekę, bo sierpień, bo koszula z potem i perfumami wymieszana, a tam, w zajedworku nie mogłem zdjąć marynarki, bo nie wypada. Ale tu, na tonie natury, kawałek już drogi od imprezy, spostrzegłem inne tony. I niczym uczniak podkradłem się i obserwowałem. Z wypiekami, nie tylko od wódki i słońca.

Na moich oczach działa się liryka. W tle las, na przedzie lasu drzewo, z drzewa wyrasta gałąź, a na gałęzi biała sukienka. Powiewa na sierpniowym białoruskim wietrze jak biała flaga. Przed ścianą lasu wąska plaża z kamieni. Na plaży, tuż nad rzeką, ręcznik, koło ręcznika torebka, stanik, biały jak ta flaga i białe dziewczęce majtki. Obok właścicielka. Leży naga, rozkosznie naga. Chwilę wcześniej musiała zanurzyć się w rzece – dostrzegam kropelki wody mieniające się w słońcu niczym małe diamentyki. Pod wodnymi kryształkami jest ona. Leży z rękami ułożonymi wzdłuż ciała, nogi również ma wyprostowane, eksponuje ich zgrabność. Oczy zamknięte. Długie, zdrowe, brązowe włosy, najpewniej wcześniej wyżymane, teraz spływają po lewym ramieniu. Oddycha powoli, z każdym oddechem piersi, dwa soczyste, jędrne jabłka – nie wiem czemu jabłka, tak mi się kojarzą – unoszą się i opadają w nieśpiesznym rytmie. Pełne biodra. Twarz jak z obrazka: usta łechcą zmysły, piegi kokietują, oczy, na pewno ma piękne oczy, które potrafią utopić w sobie niejednego. Już teraz wiem, że jestem dryfującym rozbitkiem. Gdy tylko uniesie powieki, pochłoną mnie głębiny. Ale póki co jestem bezpieczny, chociaż czuję wodę w bucie. I cera Słowianki, zarumieniona od słońca skóra, a pod nią pulsujące słowiańskie serce i gorąca, słowiańska krew. A na skórze pieprzyki. Chciałbym tak teraz wodzić palcem od jednego punktu do drugiego i łączyć je w konstelacje. Jest zrelaksowana,

nieświadoma, że ktoś ją obserwuje. Nie wie, że choć ukryta przed wszystkimi, wzbudza fascynację.

Fascynacja, dawno jej nie odczuwałem. Powoli zaczynałem sobie przypominać, czym była, jaki miała smak. Ostatnie lata wyjątkowość percepcję moich zmysłów. Ostatnie lata to przede wszystkim praca, a praca to logika ekonomii i technologii. Szybciej, taniej, efektywniej. Fascynacja nie była efektywna, była zbędna. Dyktatura pozytywnego myślenia zrobiła swoje. Fascynacja znalazła się na liście doznań zagrożonych. Już prawie zapomniałem, że pobudza bardziej niż espresso doppio.

Ostatnie takie espresso piłem za dzieciaka. W mojej rodzinnej Białce Tatrzańskiej, w liceum miałem nauczycielkę od włoskiego, panią Michalinę. Pani Michalina, nazywana przez nas, nastoletnich mężczyzn, po prostu Michašką, była w Białce potrójnie egzotyczna. Po pierwsze, uczyła włoskiego, co samo w sobie stanowiło novum. Po drugie, stara panna, to znaczy teraz wyzwolona singielka, ale wtedy tak to w moich stronach mówiono: stara panna właśnie. Po trzecie wreszcie, Michaška jako jedyna w Białce kobieta nie zasuwiała zaston w oknach podczas prysznica. Do tego nosiła okulary, więc mogłem zakradać się prawie pod samo okno łazienki na parterze i z fascynacją w oczach śledzić bezwstydnie każdy jej ruch. Bez szkieł na nosie stawiała się ślepa jak kret. Michaška nie była najpiękniejszą i najzgrabniejszą kobietą, jaką widziałem w swoim życiu, co więcej – zupełnie szarzała przy moich koleżankach z klasy, ale to dzięki niej, dzięki jej ciału odkryłem to, co było zakryte. Zachłannie wytapywałem każdy szczegół, każdą krągłość, każdą niedoskonałość, nawet fałdkę, skrętnie notowałem w głowie każde odstępstwo, mikroróżnicę między ciałem kobiety w stanie, że tak powiem, wolnym, a obrazkiem w książce od biologii. Kreśliłem południki i równoleżniki mapy jej ciała i za każdym razem, kiedy odkrywałem nowe lądy, nowe kontynenty – czasem góryste krainy, czasem krajobrazy osnute wyłącznie ni-

zinami – zawsze patrzyłem na nie przez pryzmat mapy ciała Michaśki. Moja fascynacja nie trwała długo – zniknęła wraz z nadejściem zimy, ostrych mrozów i zapalenia ptuc.

Teraz, kiedy fascynacja pulsowała pod skórą, nie mogłem patrzeć na dziewczynę inaczej jak przez pryzmat mapy. Oto rozpościerała się przede mną nieodkryta Syberia. Dziewczyna za Bugiem wydawała się tak bardzo inna od dziewczyn po tej stronie brzegu. Nie skazyły jej smartfony, fejsbuki, instagramy, filtry, produkcja white noise'u i niepotrzebne nikomu pierdolenie hasztagami: #polishgirl, #takietamnadbugiem, #lato, #fejm, #jestem #śliczna #patrzcie #na #mnie. Ona po prostu była. Trwała wtedy, trwała teraz, w owej chwili.

W owej chwili wydała mi się kimś więcej niż dziewczyną z krwi i kości tworzących niczego sobie ciało. Brakowało mi tylko mgły, by z Buga wytoniła się jako topielica, jak świtezianka ze Świtezi. Tylko kim by wtedy się stała? Bużanką? Tak, Bużanka to dobre określenie dla tego zjawiska.

Poruszyła się. Chciałem obserwować ją w ruchu, patrzeć, co zrobi, gdy zacznie się podnosić, jak zachowuje się jej ciało w różnych pozycjach – może zanurzy się? Może... Niestety.

Zawsze był ze mnie kiepski podglądacz. Nawet kiedy po niefortunnej przygodzie z Michaśką pragnąłem poznać więcej kobiecego ciała i sięgałem po pornosy pod kotłą – kto do cholery ogląda w tych czasach Olivię Wilde albo Sashę Grey pod kotłą? Ale ja tak robiłem, to moje doświadczenie, tak bardzo moje – także nawet wtedy zostawałem nakryty przez wścibskiego rodzica, bo u Marcinka coś za cicho; i bach! I dramat rodzinny, i kazanie u księdza Piguły. Także i tym razem mój antytalent dał o sobie we znaki. Nadepnąłem żabę.

Poślizgnąłem się, zawirowałem, ale utrzymałem równowagę. Woda chlupnęła, tatarak zafalował.

Dostrzegła mnie. Co więcej, dostrzegła mnie, trzydziestokilkuletniego faceta w spodniach od garnituru, w koszuli i w krawacie, skitranego w tataraku po drugiej stronie rzeki. Nie sptoszyła się. Jakimś niezrozumiałym dla mnie sposobem radary jej oczu natrafiły na moje spojrzenie. Uśmiechnęła się. Przepadłem.

Przez moment czułem, jakby z naszych oczu wychodziły lasery. Nagle zderzyły się, kontakt trwał krótko, był intensywny, doznanie graniczyło z iluminacją: tam ona, tu ja, gdzieś pośrodku my; ale siła promienia bijącego z jej oczu wepchnęła mój w czaszkę. Pierwszy spuściłem wzrok. Zmiażdżyła mnie. I triumfowała.

Zagryzła dolną wargę i, udając, że mnie nie widzi, rozpoczęła swój spektakl. Zanurzyła się w wodzie, trochę powyżej linii kolan, tak, bym mógł widzieć jej uda, łono, talię, piersi, szyję, usta, studnie oczu, a po wolnym obrocie z powrotem od góry do dołu: długie włosy, linię ramion, plecy, pośladki. Nabierała wodę w tódeczkę zrobioną z dłoni i polewała swoje ciało. Bug sptywał po Bużance, jej ciało lśniło, a ona raz po raz, niby przypadkiem, rzucała spojrzenie w moją stronę. Tak bardzo tonąłem. Co tódeczka, to dwa węzły głębiej, w wielki błękit. Jeszcze chwila i zostanę delfinem.

Nie zwracałem uwagi na nic, nawet na komary, które ostro już nabzdryngolone promilami z mojej krwi powinny pospadać do wody; ani na buty od garnituru, które nie nadawały się już do powtórnego założenia; ani na świat, z którego przychodziłem, na zajempresę firmową, na psy gończe na klientów, ani nawet na pinezkę, która dawno już odpadła z mojej twarzy i wraz z nią zsunęła się gęba Marcina Smutasa. Trwałem. Czułem się nagi, przesyty czymś dziwnym na wylot, jednocześnie podniecony i pogrążony w głębokiej melancholii. W tej jednej chwili obserwowałem prawdziwe piękno.

- Marcin, mordo! – ktoś jakby uderzył mnie obuchem w głowę.
- Tu jest, chłopak, chowa się, jebany!

Szarpnąłem głową za siebie i z przerażeniem zauważyłem, jak kroczą w moim kierunku. Oni. Koledzy z pracy. Chciałem zawołać, by nie podchodzili, bo wszystko zepsują, spierdolą jak zawsze, będzie fakap – fakap! Cholera, znowu zacząłem przypinać pinechę gębę do twarzy, zacząłem czuć wodę w drogim bucie jakby bardziej, a uktucia komarów zaczęły swędzieć. Pomachałem, że nie, żeby nie podchodzili, że już podejdę. Zrozumieli. Pewnie leje, usłyszałem.

Spojrzałem na drugą stronę rzeki, ale jej już nie było. Dziewczyna porwała w pośpiechu swoje rzeczy, została po niej jedynie chwiejąca się gałąź, na której jeszcze przed chwilą wisiła biała sukienka. Bużanka zniknęła.

Z rezygnacją wyszedłem z rzeki i skierowałem się w stronę moich kolegów z pracy, mojej zaję imprezy integracyjnej, zajefirmy.

Właśnie wtedy nad Bugiem złapałem to. Chwyciła mnie zaraza. Ale nie, nie malaria od licznych ukąszeń komarów, ani przeziębienie od wody. W owym czasie, kiedy patrzyłem na Bużankę, zaraziłem się miłością. Najgorszą odmianą. Beznadziejnie melancholijną, melancholijnie beznadziejną. I choruję do dzisiaj.

O KSIĄŻCE

Marcin Smutas mógłby o sobie powiedzieć, że jest mężczyzną dorosłym i dojrzałym pod każdym względem; ma ustabilizowany stan konta bankowego, emocjonalność bez debetu; jest aktywny seksualnie jak Wezuwiusz przed zagładą Pompejów; obrał trochę po omacku, trochę świadomie swoją życiową drogę. Mógłby przyznać przed sobą, że wie, że życie proste, zwyczajne, bez orderów, ale i bez wielkich rozczarowań. Mógłby, ale tego nie robi. Marcin ma pewien problem. Zakochał się. Całkiem zwyczajnie. W dużo za dużo za niedostępnej dziewczynie. I całe życie mu się rozjechało. Niezwyczajnie.

Marcin przyjeżdża na święta do rodzinnej Białki Tatrzańskiej, gdzie w familijnym gronie – a familiję ma dużą – odpowiada na zwyczajne py-

tanie, co u niego ciekawego słychać. Przy karpniu i uszkach, przy braciach i ich żonach, przy rodzicach i dzieciach, przy mszy z telewizora i prezentach pod choinką odpowiada prosto i zgodnie z prawdą:

– Fiut mi nie staje.

Od tej sceny zaczyna się książka. Fabuła toczy się dwutorowo. W pierwszym przypadku mamy do czynienia z rodzinną kozetką – Marcin opowiada, skąd wynikają jego niezadowolenie i problemy. W drugim „skaczymy” po różnych momentach z życia bohatera, do różnych czasów. Szybko okazuje się, że powodem problemów Marcina jest stan zakochania. Podczas spaceru nad Bugiem, po drugiej stronie rzeki, na Białorusi, zobaczył piękną, nagą dziewczynę i zakochał się w niej. Jest to miłość beznadziejna, gdyż obiektu miłości już więcej nie zobaczył. Ale miłość została, nie dało się z niej wyleczyć. Co więcej, po tym doświadczeniu cała codzienność, normalność i zwyczajne życie zaczynają mu się rozpadać. Zwyczajność w pracy, zwyczajność w życiu osobistym, zwyczajność w życiu jako Polak i Europejczyk. Wszystkie te sfery pokrywają się pęknięciami, a bohater inaczej zaczyna patrzeć na to, co do tej pory robił, kim był. I zwyczajnie zaczyna we wszystko wątpić.

Opowieść ocieka słodko-gorzkim sosem współczesnej polskości. Historia jest opowiedziana w jedyny w tym przypadku słuszny sposób: przez pryzmat wisielczego humoru, groteski i kpiny.

Jest to historia pewnej małej zagłady. Zagłady codzienności.

Elżbieta Łapczyńska

Dystrykty

REKOMENDACJA ORGANIZATORÓW KURSU

Ciekawy pomysł na powieść osadzoną w realiach Krakowa, ale podlaną egzotycznym, barwnym sosem południowych klimatów. Znakomite opisy, język, który oddaje temperaturę tekstu, świetnie skonstruowana postać głównego bohatera, pilota El Capitano, a przy tym ironia i humor – to cechy prozy tej autorki. Nie każdy potrafi pisać tak lekko, jednocześnie głęboko drążąc w świecie bohatera, nie każdy potrafi przeskakiwać między rejestrami języka, nie tracąc przy tym z oczu osi fabularnej. Elżbieta Łapczyńska znakomicie sobie z tym radzi, a jej oryginalny pomysł na fabułę pokazuje, że jako pisarka potrafi tworzyć zaskakujące światy.

Prolog

Kto zauważy, że cię nie ma, skoro cię nie ma? Od dawna się zastanawiałem, czy nie zniknąć. Dokładnie dziś odkryłem, jak to zrobić, by nikt nie zauważył. A nie jest to łatwe, kiedy jesteś najważniejszym człowiekiem na pokładzie Airbusa.

Kto zauważy, że cię nie ma, skoro cię nie ma, powtórzyłem w myślach zdanie zastyszane dzisiejszego wieczoru w barze Red Alert. Poszedłem tam, gdy tylko wylądowaliśmy w Caracas, tak jak każdej środy i niedzieli od ponad roku. To do Red Alert kieruję najpierw moje kroki w tym mieście, nie zawijając nawet do służbowego mieszkania, by zostawić walizkę czy przebrać się z granatowego munduru pilota. Bywalcy wotają na mnie El Capitano, unosząc z uprzejmością swoje szklanki. Każdy z nich ma swoje ulubione miejsce w ciasnej sali, nad którą nie unosi się nic poza dymem, ochrypłymi wyzwiskami i przebojami lokalnych gwiazd. Z pociemniałych od smrodu i potu ścian spoglądają surowo Sylvester Stallone z karabinem, Jean-Claude van Damme w spektakularnym rozkroku oraz Bruce Willis w brudnej koszulce. Pod ich okiem mogę spokojnie się zeszmacić po dwudziestu godzinach lotu i nieustannego zapobiegania katastrofie.

Tego wieczoru czekałem w kolejce na hemingwayowskiego daiquiri i zastanawiałem się, czy i tym razem tysy barman zamiast rumu wleje mi wódkę. Ladę okupowało dwóch Europejczyków, choć co do jednego nie miałem pewności. Swoją karnację mógł przecież zawdzięczać tak samo włoskim, bałkańskim i wenezuelskim genom. Był jednak spasiony jak prawdziwy Latynos. Garnitur ze śliskiego materiału btszczał mu na zgięciach łokci i wzdłuż ogromnych ud. Drugi nie zwracał na siebie uwagi strojem, lecz fryzurą, o tym samym potysku co garnitur pierwszego. Do jean-

sów miał włożoną różową koszulę, a na stopach coś à la buty, tylko z wywiniętymi noskami. To plasowało go również gdzieś między Cyganem a Latynosem. Pomyślałem, że trafili tu przypadkiem, zbłądzili na szlaku czystych burdeli, chuć zaprowadziła ich w złą uliczkę i przepadli. Chętnie bym popatrzył na jednego z tu-tejszych chłopców, tego z wąsem, co to nigdy nie może usiedzieć na krześle, objającego im mordy. Upatrzyłem sobie nawet stolik, gdzie przy szklance daiquiri mógłbym pooglądać tę przypadkową kaźń.

Gdy barman wyciska do mojej szklanki limonkę, zagaduje go ten z fryzurą. Łysy pochyla się do nich, jego czaszka lśni od potu. Parskają jak trzy hieny. Dalej rozmawiają i potrząsają głowami, nie starając się przekrzyknąć jęczącej w tle śpiewaczki. Łysy przesuwając po blacie szklankę w moją stronę, nie odrywając się od rozmowy. Pociągam tyk. Wódka. Otwieram usta, by w końcu powiedzieć mu, że nie jestem byle przyjeźdnym z Europy, jak ci obok, podczas gdy mi wlewa podły spirytus, że obywatelstwo zdobyłem tu przez zasiedzenie, że mógłbym pójść do każdego baru w Caracas napić się porządnego alkoholu, lecz wybieram to miejsce z umiłowania prostoty i uczciwości, że cieszę się szacunkiem nie tylko mieszkańców tych przedmieść biedoty, ale i całego społeczeństwa, bo temu służę i za nie odpowiadam, odpowiadam za każde jedno latynoskie dupsko, wierzące się z nudów, podczas gdy ja bez przerwy powtarzam w myślach procedurę bezpieczeństwa, kontroluję aparaturę i przeliczam parametry. Jednak zanim udaje mi się poskładać to wszystko po hiszpańsku, jeszcze raz dławią się śmiechem, jakby wspominali wczorajszą imprezę. Albo śmiali się z faceta, którego wszyscy znają i z którego wszyscy się śmieją. Wtedy odwracają się w moją stronę.

– Ty jesteś ten El Capitano? – Grubego nie zdradza żaden akcent. Widocznie wyczytali z mojej twarzy zdziwienie, bo po chwili wyfryzowany gość się ożywia:

- No, ten pilot to ty?
- Panowie wybaczą, czy my się znamy? – przemilczam znie wagę. – Oczywiście z panem Eugenio widuję się regularnie – kłaniam się uprzejmie w stronę barmana – ale my nie mieliśmy jeszcze przyjemności. Kapitan Witold Choromański.
- Tak, pan Eugenio nam o panu opowiadał. – Grubas imię barmana wymawia jakby kursywą. – Jestem właścicielem tego lokalu, a to mój wspólnik. Bardzo chciałem w końcu pana pilota zobaczyć, ale ciągle miałem pecha. – Spod fałd policzków ledwo widać uśmiezek.
- Bo El Capitano przychodzi tylko w środy i niedziele. W dni, kiedy u nas ląduje – wyjaśnia barman. Ignoruję ten ton i tylko poprawiam mundur. A on się uśmiecha i jest to straszny uśmiech. Odpowiadam mu tym samym.
- Owszem, wylądowałem w Maiquetii jakieś dwie godziny temu. Zastygli, patrząc to na siebie, to w głąb zadymionej sali.
- I co, lot udany?
- Jak widać.
- No to zdrowie! Za wszystkie odloty pilota! – Gruby odwraca się do kolegów, ryczy, podgardle mu faluje. Tamci z opóźnieniem rechoczą za nim.
- Ciekawe, że wspomina pan właśnie o odlocie. Nie wiem, czy jest pan świadom, czym jest start samolotu. To znacznie trudniejszy manewr od lądowania. – Opieram się łokciem o bar i nachyliłam do nich. – Czy pan wie, jak to jest dro-bia-zgo-wo sprawdzać każde urządzenie, komunikaty z wieży i komputera, ciągle powtarzać sobie, iż błąd oznacza śmierć trzystu ludzi? – Grubas sięgnął po szklankę, nie spuszczaając ze mnie wzroku. – W końcu jedyne, o czym myślisz, to by zniknąć z tej pierdolonej puszki. Ale nie możesz, bo nawet gdy znikniesz, to od razu zauważą. I zaczną cię szukać. Dzwonić za tobą do mieszkania, do hotelu, przypominać o trzystu uczciwych ludziach. Bo oni chcą dotrzeć do swoich

domów. Bo oni chcą, kurwa, dotrzeć do swoich domów! Lot się opóźni, każda z tych trzystu osób będzie cię nienawidzić, przeklinać, bo tak bardzo chcesz je dowieźć do tych ich domów, do tego ich kraju komuchów, czerwonych kurew i nędzy.

Zorientowałem się, iż stoję tuż nad głową grubasa, a on odchyła się do tyłu i wytrzeszcza świńskie oczy.

– Ale kto zauważy, że cię nie ma, skoro cię nie ma?

Cofam się o krok, a on przechyla się z powrotem do pionu. Upijam tyk. Wszyscy trzej gapią się na mnie, chociaż barman zaraz zaczyna niby wycierać blat. Jest mi gorąco, duszno i wirująco, wcale nie przez lata ani nie od wódki.

– Chyba czas na mnie.

Obracam się i ciągnę za sobą pustą walizkę, przeciskając się między pijanymi robotnikami z Huty Sendzimira. Przed barem czeka mój autobus: 139, kierunek Mydlniki.

ul. Warszawska

Tamto spóźnienie zapowiadało katastrofę, która miała nadejść dokładnie dziewięć nocy później. Katastrofy zazwyczaj wydarzają się niespodziewanie. Ja jednak, po trzydziestu latach życia, powinienem już wyczuwać kolejne, zauważać, jak wzbierają niepokojące przypadki. Ale wtedy, gdy biegłem z Długiej w kierunku Warszawskiej, z górskim plecakiem napchany radiami do aut, nie myślałem o tym spóźnieniu w ten sposób. Myślałem o czymś zupełnie innym. Myślałem, że za chwilę rozerwą mi się ptuca, zagotuje mi się osierdzie albo zwrócę cheeriosy z mlekiem, które jadłem na kolację. Myślałem o telefonie, jaki otrzyma mój tata: panie Jerzy, Ernest zmarł tragicznie, potykając się w biegu o płytę chodnikową. Byłe nie spóźnić się więcej niż dziesięć minut, może dwanaście. Może to nie będzie jeszcze taki duży problem dla pana Zet, jak kazał się nazywać.

- No to mamy problem, Erneścik – ze spokojem przywitał mnie pan Zet i pozwolił, bym odzyskał oddech.
- Wiem, to przez, ja naprawdę myślałem, to miało być jutro.
- Ilu nas miało być? – przerwał mi. Wyprostowałem się. Na szczęście znałem odpowiedź, jakkolwiek wydało mi się dziwne, że o to pyta.
- Trzech – zameldowałem. – Trzech: ja, pan i ten trzeci.
- A ilu nas jest?
- Dwóch.
- To widzisz, w czym jest, kurwa, problem? Ten trzeci już odjechał. Z moją kasą i twoją kasą. – Wypuścić dym. – Dawaj plecak. No, dawaj ten plecak.

Kiedy odjechał, zostałem sam w cichym gwarze wczesnej nocy. Światła łagodnie odbijały się na karoseriach. Stara Vanessa w krótkich białych spodenkach, nie zważając na kwietniowy chłód, uśmiechała się pogodnie, jakby czekała na ukochanego. Gałęzie uginały się od pysznie pachnących pąków. Wszystko było tak przyjazne – a nie powinno. Świat, obojętny na mnie, rozkwitał w swojej najpiękniejszej formie. Chyba tylko po to, bym oglądał go zza szyby z jeszcze większą zazdrością.

O KSIĄŻCE

Znika dziadek głównego bohatera, Ernesta. Okoliczności jego zaginięcia poznajemy w prologu, kiedy okazuje się, że Witold cierpi na zaburzenia psychiczne. Jednak o chorobie nie wie nikt z jego jedyńskich krewnych. Ich relacje z dziadkiem są bardzo chłodne, wszyscy uważają go za frustrata, który miał pretensje do losu o to, że rzucił go do Nowej Huty, by brat udział w budowie socjalistycznego miasta. Nikt z rodziny nie chce mieć na głowie zaginionego dziadka. W dodatku Ernest, który zalicza sporo niepowodzeń, dostaje propozycję wyjazdu, więc nie może się zaangażować w poszukiwania. Jednak przez przypadek odkrywa, że Wi-

told był członkiem towarzystwa zrzeszającego tak osobliwe postaci, jak śpiewaczkę bez nóg czy czarnoskórego tramwajarza, i co noc odwiedza kolejnego członka tej grupy. Popycha go do tego także bezsenność, na którą cierpi dokładnie od nocy, w której zaginął dziadek. Wie, że nie zaśnie, dopóki go nie odnajdzie. Ernest zakochuje się w opiekunce jednej ze spotkanych postaci – szalonej Doris. Aby zechciała mu towarzyszyć, okłamuje ją, że dziadek ma przy sobie zapiski jej podopiecznej – znaczący przedmiot dla obu kobiet. Razem odwiedzają kolejne barwne postaci, aż trafiają na ślad zaginionego – dowiadujemy się tego z relacji samego Witolda, który w całej fabule zabiera głos w trzech epizodach. Wymyka się wnukowi, nie chcąc zostać odnalezionym. Wówczas też okazuje się, że tak jak Ernest okłamał Doris, tak i ona okłamała go w sprawie istnienia zapisków. Historia kończy się, kiedy Ernest zasypia i uświadamia sobie, że tym samym jego poszukiwania, choć bez rezultatu, zostały zakończone. Nie odnajduje dziadka, ale przez opowieści znajomych Witolda odkrywa jego nieznanne oblicze.



Małgorzata Babula

Piętno

Dzisiaj, kiedy leżę w kostnicy i czekam na patomorfologa, spoglądam pod powiekami na minione wydarzenia z mojego życia. Nie odczuwam już tak silnych emocji, towarzyszących mi w tamtych dniach. I chociaż wszystko pozostaje nadal bliskie, jakby to było zaledwie wczoraj, patrzę na to inaczej. Nie wiem, czy ze spokojem. Nie mogę tego jednoznacznie określić. Nie wiem, czy spokój w obliczu wszystkich zdarzeń to najlepsze określenie. Ambiwalencja emocjonalna. Tak. Odczuwam ambiwalencję emocjonalną. I pewne sprawy, mimo że jeszcze wczoraj wydawały się najważniejsze, dzisiaj zwyczajnie są mi poniekąd obojętne. Nie wiem, czy umarłem, będąc szczęśliwym człowiekiem. Co to w ogóle jest, kurwa, to „szczęście”? Determinant definiujący, czy przypadkiem nie przegrałeś swojego życia. Jestem zadowolony. Ba! Czasami nawet dumny z pewnych spraw i toku, który przybrały. Ale od razu szczęśliwy... Wypadkowa mojego życia, owszem, wygląda pozytywnie. I leżę tu całkiem zadowolony z tego, czego doświadczyłem, chociaż nierzadko czułem się zbrukany i zły. Na siebie i na innych. Sam nie wiem, na kogo częściej. Bo przecież ludzie traktują cię odpowiednio do tego, na co im pozwalasz. Nie jak sobie zażyłeś, ale na co pozwalasz. Tak uważam dzisiaj, kiedy jedyny czekający mnie gwałtowny i intensywny poryw serca to jego fizyczne wydarcie. Może dlatego dzisiaj tak wiele mam już

tak mocno w poważaniu. Głębokim. Ale są momenty nawet teraz ściskające mnie za gardło. Są wspomnienia, pulsujące w moich żyłach. Jakby z wczoraj. A jednocześnie wprost ze snu. Nierzadko z tego najgorszego.

Nie umiem jednym zdaniem określić tego, jakim jestem dzisiaj człowiekiem. Poza tym, że martwym. A tym samym, kim pozostawałem przez dłuższy czas mojego życia. Wychowano mnie w idei potulnego cielęcia ssącego dwie matki. Dość szybko – ale równocześnie trochę za późno – zrozumiałem silne powiązanie owej potulności z pochyłym drzewem i wążącą na nie kozą. Więc przybrałem taktykę traktowania ludzi nie dobrze, ale z wżajemnością. To rokowało już lepiej dla mnie, ale niekoniecznie dla mojego funkcjonowania wśród ludzi. Egoizm i brak refleksji moich współtowarzyszy zaowocował przyłgnięciem do mnie łatki buca. Ma to swoje dobre strony. Zyskałem powietrze. Jego czystość i jakość. Dlaczego o tym piszę? Zrobitem w życiu wiele. Dobrego i złego. I chociaż dobrego więcej, zło miało większą siłę rażenia. Szala pozostaje zatem wyrównana. Mało to budujące. Nieszczęśliwie też mnie przygnębia. W mojej sytuacji i tak nie ma to większego znaczenia. Woody Allen w jednym ze swoich filmów powiedział zabawne słowa. „Oczywiście, że boję się śmierci. Jestem ateistą”. I chociaż piszę to wszystko już po bruderszafcie z kostuchą, nadal odczuwam. Mam pięćdziesiąt lat. Reminiscencje nie będą mi zatem dane. Przynajmniej nie dostownie. Nadal dobrze pamiętam wszystko, co nieodległe, ale nie zapomniałem również o tym, co już dawno minione. Częściowa amnezja byłaby wybawieniem. To dość chujowe położenie, kiedy umierasz w pełni świadom życia, siebie i jej. Co czuję? Zimno. I ciemno. Już sam nie wiem, co gorsze. Mówią „po śmierci nic nie boli”. Fizycznie nie boli. Swędzi. Nie mogę się ruszyć, a nawet gdybym mógł, nie chcę. Jest mi dobrze pomimo tego uczucia swędzenia. Naprawdę dobrze.

Tamtego dnia miała na sobie taką piękną sukienkę. Ubrała ją też na nasze pierwsze spotkanie. Potem zawsze, niby od kalki, pokazywała się w niej we wszystkie nasze potajemne schadzki. Nawet wtedy, gdy mówiła o swojej ambiwalencji emocjonalnej (tak, to dzięki niej rozumiem ten stan) i gdy chciała odejść... nawet wtedy miała ją na sobie. A teraz wygląda w niej jeszcze piękniej. Suknia czerwona od zakrzepłej krwi złamanej przysięgi. Wiem... Nikt po mnie nie zapłacze, ale też nie zależy mi na niczyich łzach. Pod powiekami mam najważniejsze dla mnie wzruszenia. Możecie wyjąć mi wszystkie wnętrzości. Od dawna jestem pusty w środku.

Kiedy kilka ładnych lat temu zaczynałem pracę w zagranicznej firmie, wiele rzeczy wydawało mi się zupełnie innych, niż to miało miejsce naprawdę. Nigdy nie doświadczyłem problemów z trzeźwą oceną sytuacji i nie zdiagnozowano u mnie zaburzeń psychicznych, mogących wpływać na kontakt z rzeczywistością. A jednak miesiące pracy tam powodowały, że nierzadko zastanawiałem się, czy nie jestem idiotą. Ciotka nauczyła mnie w życiu wiele. Dzisiaj mogę to powiedzieć niemalże z pewnością. Ale zapomniała nauczyć mnie jednego: udawać głupiego. Być może przez to często naprawdę czułem się niczym dureń. Malowanie niebieskiej kreśki czarnym flamastrem. Znasz to uczucie? Wypracowałem sobie jednak pewną umiejętność funkcjonowania w tej rzeczywistości, która mimo wszystko była na swój sposób nierealna. Projekty powierzane ludziom niekompetentnym. Niekompetentnym co prawda w tych projektach, ale obdarzonych wyjątkowymi umiejętnościami oralnymi. Dzisiaj wiem, czemu Klara z dziātu inwestycji zawsze chodziła w długich spódnicach. To zawsze łatwe do zarzucenia na głowę, a strupy na kolanach zastania. Suka.

Kurwa, ale ze mnie dureń. Ale umarłem wcale nie mądrzejszy. A może głupszy właśnie, bo nie zmieniałbym nic ze swojego zachowania. Ani przedtem, ani potem. Mimo tego wszystkiego nie odrzuciłbym tamtego Oliwiera C.

Tylko z Polą mi coś poszło nie tak... Zerwała ze mną, chociaż nie chciałem tego. Polę poznałem na studiach. Żadna klasyczka. Wszystko w sam raz. Tylko inteligencja z nadmiarem. Humor z ironią. Oczy z błyskiem. Miała obsesję na punkcie projektowania z uwzględnieniem „synergii optycznej”. Tak to nazywała. Ale po kolei.

Zawsze onieśmiała mnie blaskiem bijącym z jej przeciętności. Naprawdę, nie obejrzelibyście się za nią na ulicy. Pewnie sam bym tego nie zrobił. Ale kiedy spędziło się w jej towarzystwie dziesięć minut, świat zdawał się kręcić wokół równoleżników. Wszystko nabierało innego znaczenia i wyrazu. I ta jej synergia optyczna. Na drugim roku studiów mieliśmy do zrealizowania konspekt na laboratorium z projektowania, jak gdyby na świat patrzyło się tylko z góry. Umówiliśmy się na spotkanie w sobotę o jedenastej pod jej kamienicą. Jedyne, co mi zapowiedziała, to że miałem się ubrać na sportowo i wziąć stabilne buty bez metalowych zaczepów. Sama miała na sobie niebieskie sportowe spodnie i wysokie fioletowe trampki. I nieduży plecak, który rzuciła na tylne siedzenie mojego samochodu.

– Jedź w stronę lotniska.

– Wyjeżdżasz? – palnąłem.

– Nie. Wylatuję. A zasadniczo wylatujemy i tylko na chwilę. Jestem członkiem naszego aeroklubu. Jeżeli mamy zrobić ten projekt razem, to musisz zrozumieć, o co mi chodzi, kiedy mówię o synergii optycznej. Masz lęk wysokości albo przestrzeni?

– Nic mi o tym nie wiadomo – w głowie, niczym neon, żarzył się tylko jeden lęk, przed Polą i jej pomysłami.

– To dobrze. Inaczej skomplikowałoby mi to trochę pracę.

– Nade mną?

– Z tobą, fantast – mrugnęła okiem, uśmiechając się lekko.

– A wzbijać się będziemy szybowcem?

– Będziemy opadać. Ze spadochronem – dźwięki jej zdań здаwały się obijać echem w samochodzie.

– Ze spadochronem?

– A wolisz bez? – nie ukrywała rozbawienia całą sytuacją.

– Ale ja nigdy nie skakałem ze spadochronem. Bez też nie. Ogólnie nigdy nie wyskakiwałem ze sprawnego samolotu. Zresztą, z żadnego nie wyskakiwałem.

– No to dzisiaj wyskoczmy. Razem. W tandemie. Jestem instruktorem, więc to nam ułatwia zadanie – postąła w moją stronę całą serię słów, niczym z karabinu maszynowego. – Wiem, wiem. Teraz może się to wydawać dziwne, o ile nie szalone. Po skoku, gdy opadną emocje, zrozumiesz, o co mi chodzi. Pro forma skoczmy dwa razy.

– Aha.

– Skacząc pierwszy raz w życiu, nie ogarniesz nic ponad to, że spadamy w całkowitej ciszy przestworzy. Spodoba ci się to, gwarantuję. Natomiast sens dzisiejszego skoku jest inny. No, ale o tym porozmawiamy potem.

Kiedy zaparkowałem samochód, czułem zarówno lęk, jak i adrenalinę. I chociaż zabrzmiało to niewiarygodnie, najbardziej ekscytowało mnie, że będę przylegał do niej całym ciałem. A zasadniczo, ona przylgnie do mnie swoimi piersiami, być może nawet poczuje jej oddech na swojej szyi. Wcale nie czułem strachu przed wysokością, przed skokiem i ewentualnym niepowodzeniem. Ufałem jej. Całkowity brak obiektywizmu. I wtedy właśnie zdałem sobie sprawę... Wpadłem. Kochałem tę buńczuczną dziewczynę, prawie jej nie znając. Wtedy czułem, że mogę tam nawet zginąć. Jedno z moich marzeń i tak się spełni. Będę poniekąd w jej ramionach. Składała spadochron, a ja obserwowałem jej spokojne, ale pewne ruchy. Układała bezkształtną poćać równo, niemalże od linijki. Sprawdziła, kto zaplombował zapasową czaszę, i gdy resztki olinowania zniknęły w pokrowcu wielkości

sporego plecaka, zarzuciła go zręcznie na plecy, zdmuchując grzywkę z czoła.

– Postuchaj teraz uważnie. I jeśli będziesz miał pytania, przerywaj mi. Przypnę się do ciebie. Tym sposobem będę nad tobą. To ja mam spadochron i to ja pociągam za pilocik. Ty jesteś widzem. Możesz mi zaufać. Kiedy wyskoczymy z samolotu, przez moment, a wyda ci się on wiecznością, będziemy spadać swobodnie w dół. To znaczy...

– Wiem, co to znaczy. Spadochron będzie zamknięty.

– Tak. Gdy pociągnę za pilocik, spadochron wysunie się z plecaka i napętni się powietrzem. Nastąpi szarpnięcie. To będzie oznaczać otwarcie się czaszy. Odhamuję, czyli pociągnę za linki sterownicze, czasza nabierze powietrza równomiernie, a ty poczujesz sterowanie lotu przeze mnie. Będziemy opadać dość wolno. Na tyle wolno, że zdążysz się w tym zakochać, ale na tyle szybko, abys miał niedosyt. Potem towarzyszy on już nieustannie. Chyba tylko Baumgartner i Eustace czują zaspokojenie. Twoje zadanie sprowadza się tylko do jednego. Kiedy będziemy zbliżać się do lądowania, podkul nogi tak, abym to ja swoimi hamowała, a ty sobie nie potamał swoich. Lądowanie poczujesz tak, jakbys zeskoczył ze stopnia.

– W porządku.

– Nie masz pytań?

Pokręciłem przecząco głową. Serce waliło mi niczym młot, ale udawało mi się zapanować nad oddechem. W duchu ponownie cieszyłem się, że to ona będzie na moich plecach. Dzięki temu nie poczuje mojego zdenerwowania.

– To wskakuj w ten seksowny kombiak. W górze będzie zimno. Potem mi podziękujesz. Dam ci też okulary. W samolocie mogą delikatnie zaparować, ale nie przejmuj się tym. W ciągu pięciu sekund od wyskoczenia dojdą do siebie.

Samolot czekał na nas na pasie startowym, kompletnie niewidocznym dla laika. Nie odróżniał się niczym od pozostałej części łąki, szumnie nazywanej lotniskiem. Za sterami siedział klasyczny Tom Cruise rodem z Top Gun. Na nosie awiatorki, w nosie muchy, a w ustach wykałaczką. Z Polą przywitał się serdecznie, mnie obdarzył jedynie sarkastycznym uśmiechem i chyba sam miałem sobie wyczytać z niego słowa powitania. Moje myśli odbiegły jednak od niego w tym samym momencie, w którym samolot zaczął nabierać prędkości i oderwał się od ziemi. Samolot jedyny w swoim rodzaju. Bez drzwi. Kiedy chmury przystończyły odległą ziemię, za co na swój sposób byłem im wdzięczny, Pola klepnęła mnie w ramię, przekrzykując silnik:

– Pora na nas. Będzie super.

Pozwoliłem sobie nie odpowiedzieć. Zresztą nie bardzo wiedziałem co. Chociaż serce samo wyrwało się do wywrzeszczenia: „Kocham cię!” – tak asekuracyjnie, jakby potem nie było już na to szansy. W zamian za to uniosłem w górę kciuk, przeklinając w duchu wszystkie oglądnięte filmy o podniebnych podbojach. Okulary nie zaparowały na tyle, by przystończyć przepaść, która ukazała się pod nami, kiedy wyszliśmy z samolotu i stanęliśmy na skrzydle.

– Na trzy puszczamy się.

– Z tobą zawsze – siliłem się na żarty.

– Trzy!

„A gdzie kurwa jeden i dwa?” – zanim pomyślałem te słowa, spadaliśmy w dół niczym worek ziemniaków rzucony z okna mieszkania na trzydziestym piętrze. Miała rację. Uczucie bezwładnego opadania to coś niepowtarzalnego i próba opisanego go spetnie na niczym. Ziemia przybliżyła się do ciebie, a ty spadasz w tempie zatrważającym. I dopiero moment szarpnięcia w górę powoduje nagłe oprzytomnienie i przypominasz sobie, że to przecież skok ze spadochronem, a nie próba samobójcza. Wtedy wiedziałem, że

gdybym kiedykolwiek postanowił targnąć się na własne życie, nie będzie to skok z okna. Ale nie wiedziałem z kolei, jak cenna będzie to lekcja.

(...)

Kiedy obudziłem się w hotelu przy ulicy Szerokiej, na niebie dopiero pokazywało się słońce. Była godzina szósta rano. Zapowiadał się pogodny dzień. Włączyłem telewizor. Wcześniej jednak wypitem łyk kawy przygotowanej na moją prośbę przez obsługę hotelową. Lokalny dziennik pokazywał zdjęcia z miejsca zdarzenia.

– „Wczoraj wieczorem samochód osobowy prowadzony przez młodą kobietę wpadł w poślizg i uderzył w betonowy fragment wiaduktu. Kierująca pojazdem zmarła na miejscu. Nie ma informacji o innych ofiarach wypadku” – informował prezenter dziennika.

Podczas jednego ze spotkań, jeszcze przed moją przeprowadzką do Torunia, napisała do mnie, że takie poznanie jak nasze nie wydarza się w życiu często. Odpisałem wówczas, mocno poirytowany: „Słowa jak sztuczny miód, ersatz, cholera, nie życie, miał być raj, miał być cud i ćwiartka na popicie. A to wszystko nie tak, nie tak, nie to, a jeżeli nie tak – nie to, no to o co, u diabła, nam szło? ... o szkło?”*. Pamiętam jak dziś jej odpowiedź:

– Nie słowem tu chciałam walczyć, a o serce Twoje – moim. Cholera!! Pozwól i spójrz raz w uczucia! O to proszę! A życie stanie Ci w innych kolorach!! To będzie moja rola! Nie zawiedziesz się, Oli!”.

A dzisiaj leży gdzieś obok mnie. Tak samo zimna, jak wtedy nad jeziorem. Tak samo obojętna, jak te dziesiątki razy, kiedy zamykała mi drzwi do swojego świata i swoich uczuć. Tak samo martwa, jak

* A. Osiecka, *Sztuczny miód*, [w:] *Nowa miłość. Wiersze prawie wszystkie*, t. 2, Warszawa 2009, s. 194.

wtedy, gdy próbowałem dodrapać się pazurami do jej serca. Teraz przynajmniej wiem, dlaczego jest zimne. Teraz przynajmniej wiem, że naprawdę nie ma nikogo. Odebrałem, co moje. Zabrałem Poli córkę. Doktorka pozbawiłem szczęścia, które uwił moim kosztem, a Malwinie wydarłem z rąk berto cierpienia, którym rządziła w moim życiu. Sam zaś odzyskałem godność, tracąc resztki człowieczeństwa. Sprzedając duszę diabłu, oddałem światu ból, którym nakrywał mi przez lata do stołu.

Powoli zamieszałem kawę. Była jeszcze ciepła, ale i tak miała metaliczny posmak. Wiedziałem, że pora na mnie. Spakowałem swoje rzeczy, optukałem w taziencie twarz. Dokumenty ułożyłem na walizce i otworzyłem okno. Pokój na poddaszu rozścielał przede mną piękne widoki. Na ulicę Rybaki, na Wisłę i drogę, którą wczoraj jechaliśmy. Przypomniałem sobie ten pierwszy skok i ten, którego nigdy miało nie być.

Drzwi prosektorium otworzyły się szeroko. Do sali wszedł patolog. Odkręcił wodę w kranie i spokojnie podszedł do stołu. Ostatnim spojrzeniem zamyślił się nad leżącym ciałem.

– Masz piękną sylwetkę – przemknęło przez pustą salę zdanie pozostawione bez odpowiedzi. Cisza tego środowego poranka została gwałtownie przerwana przez hałas pily oddzielającej skórę od czaszki. Niczym indiański skalp. Szelest odrywanego ciała i odciąganej kości układały się w rytmiczny fragment symfonii śmierci. Powietrze przesiąkało słodkim zapachem krwi. Lekarz wyjął mózg, którego fragment umieścił w formalinie, a następnie odłożył na bok dwa solidne płyty żeber odstawiając resztę wnętrzości. Mechanicznie krok po kroku kontynuował sekcję i tylko na krótki moment wyprostował się i spoglądając za okno, mruknął pod nosem:

– Każdy z nas ma to samo gówno w środku. Twoje opakowane jest w złoty papierek. Aż żal odwijać.

O KSIĄŻCE

Oliwier C. Urodzony w Ełku. Absolwent Wydziału Architektury na Politechnice Gdańskiej. Podczas studiów związany z koleżanką z roku – Polą. Ta zostawiła go dla doktora, pod kierunkiem którego pisała pracę magisterką. Rozstanie przytłoczyło wieloma miesiącami picia i dochodzenia do siebie. Niepowodzenie życia osobistego przekuł na zawodowe sukcesy. Po ukończeniu studiów związał się z zagraniczną firmą „World Pro-Invest”. Zajmował się projektowaniem przestrzeni prywatnych i biznesowych z uwzględnieniem nowatorskich rozwiązań synergii optycznej. Pionier nowoczesnych metod kreowania krajobrazu. Jego projekty zdobyły uznanie szerokiego gremium odbiorców. Zdobywca Nagrody im. prof. Janusza Bogdanowskiego. W wieku czterdziestu pięciu lat poznał młodszą od siebie dziewczynę – Malwinę, z którą przez długi czas łączyła go zawiła i niejednoznaczna relacja. W momencie zwrotnym swojego życia zdecydował się na małżeństwo z Malwiną i przeprowadzkę. Wraz z żoną zamieszkał w Toruniu, gdzie również pracował. Prywatnie był zagorzałym pasjonatem gór. W chwili śmierci miał pięćdziesiąt lat.

Opowieść o mężczyźnie, porzuconym u progu dorosłości przez miłość jego życia i który przez to samo życie zostaje zaskoczony nowym uczuciem. *Piętno* to historia o namiętnościach rozdzielonych tylko cienką linią. Ale mylnie byłoby sądzić, iż jest to romans. Mamy bowiem do czynienia ze studium zdrady (w tym z ludzką naiwnością) i utarczania się w mrocznych zakamarkach duszy. Poznajemy sekrety spowiedzi człowieka, testament sprzedaży duszy diabłu, próbę ocalenia godności przeszłych dni. *Piętno* to powieść skierowana do wszystkich, którzy znają smak miłości i cierpienia niesionego rozczarowaniem i nadziejami bez pokrycia. Ale nie tylko. To również historia dla świadomych znaczenia uniwersalnych wartości: miłości, szacunku i wybaczenia. A wreszcie pstryczek w nos dla tych, którzy twierdzą, że umieją zapanować nad światem swoich dążeń i pragnień.

Anna Bąk

30 pytań Hanny

PRAWDA. Wystane.

RE: Udział w programie coachingowym

Dzień dobry,

Zgodnie z ustaleniami przesyłam odpowiedzi na poniższe pytania. Gdyby coś wymagało doprecyzowania, proszę o kontakt.

1. Kilka zdań o mnie.

Mam na imię Hanna. Jestem psychologiem, zajmuję się rekrutacją w dużej firmie z branży IT. Praca w zakresie HR była moim celem i cieszę się, że obecnie odpowiadam za zatrudnienia w Krakowie.

2. Motywacja do udziału w programie i oczekiwania z nim związane.

Moje uczestnictwo w programie to forma docenienia ze strony pracodawcy. W związku z transformacją firmy zaoferowano mi możliwość analizy mojego potencjału i wsparcie w wyznaczaniu celów rozwojowych. Chciałabym, aby program był okazją do efektywnej pracy, dopasowanej do moich indywidualnych

potrzeb i umiejętności. Chętnie poznam narzędzia wspierające rozwój oraz inspirujących praktyków coachingu.

3. Moje mocne strony.

Profesjonalizm. Dbam o jakość pracy swojej i innych. Cenię konstruktywną krytykę i jestem otwarta na dyskusje o sposobach rozwiązania problemu. Wyznaczam sobie ambitne cele. W sytuacjach trudnych myślę analitycznie i zadaniowo. Doceńm jasną i szczerą komunikację.

4. Nad czym chcę pracować.

Liczę na to, że program pomoże mi sprecyzować dalszy kierunek kariery. Szukam sposobów na lepsze zarządzanie swoimi zadaniami, szczególnie pod presją czasu.

5. Preferowana forma współpracy. Rozliczenia.

Preferuję kontakt mailowy, co pozwoli mi włączyć zadania z programu w harmonogram tygodnia. Realizuję kilka projektów i aktywności równocześnie, będę zobowiązana za uwzględnienie ich w planowaniu programu. Czy jedno spotkanie na miesiąc jest wystarczające? Może część zadań mogę wykonywać samodzielnie i przysyłać ich rozwiązania w określonym terminie? Jeśli chodzi o rozliczenia, przelew realizowany będzie przez mojego pracodawcę na podstawie faktury o możliwie długim terminie płatności.

Czy po zakończeniu projektu wystawiają Państwo certyfikat lub przesyłają raport kompetencyjny? Chodzi o dokument poświadczający nabyte umiejętności, który pracodawca może dołączyć do rozliczeń finansowych i akt pracownika.

W oczekiwaniu na dalsze wytyczne,

Pozdrawiam,

Hanna Kruszyńska

PRAWDA. Wersje robocze.

RE: Udział w programie coachingowym

Dzień dobry,

Panie Michale, zgodnie z prośbą przesyłam odpowiedzi na pytania. Starłam się je przemyśleć, ale nie wiem, czy o to chodziło.

Mam na imię Hanna i na co dzień zajmuję się rekrutacją w branży IT. Zawsze marzyłam o tym, aby dawać pracę. O uśmiechach osób uratowanych od bezrobocia. O swataniu pracowników z ich wymarzoną pracodawcą i błysku wdzięczności w oczach nowo zatrudnionych. Chciałam dawać szczęście. Być dobrą wróżką rynku pracy.

Tymczasem siedzę już drugą godzinę nad tabelką w Excelu. Zostałam wróżką, ale Power Pointa. Dorzucam do mojego magicznego pliku garście liczb, szczyptę formuł i krople kolorów. W tle cicho bulgoczą makra mieszane kliknięciami myszki. Jak na czarodziejkę przystało, pod nosem mruczę magiczne formuły. W moim wydaniu to „Sumujże się, kurwa, do zera”. W swoim repertuarze zaklęć mam klątwę wykresu, wywar z nieistniejących rynkowo danych i trujący bluszcz konsultacji z managerami. Do mojej nory błysk wdzięczności nie dociera. A swatać to mogę kolumnę C z D.

Dlaczego się zgłosiłam do programu? Szczerze? Szef mnie... zmotywował. Koleżanka, która pierwotnie miała być uczestniczką, zaszała w ciążę i znikła na L4. Więc „szansa rozwojowa” przeszła na mnie. Jest to jakaś forma docenienia, ale nieco... taka korpo-szansa.

Jeśli chodzi o moje oczekiwania, to – może to głupio zabrzmieć – chciałabym, żeby mnie Pan nie zepsuł. Bo ja jestem dość dobrze poukładana. Mam swoje rytuały i cykl tygodnia. Planuję i zarzą-

dzam. I nieźle mi idzie. Wolalabym tego nie zburzyć. Dla mnie to jest optymalne życie singielki. Skąd wiem? Lata praktyki, testowane na Hannie;). Mnie jest naprawdę dobrze. Tylko... czasami czegoś brakuje. I nie wiem czego. Może Pan pomoże mi to znaleźć? Czy istnieje coś takiego jak kryzys zbliżającej się trzydziestki?

Moją największą zaletą jest profesjonalizm. Dlatego irytują mnie choćby literówki. Czasem śmieję się, że działam jak wykrywacz. Po prostu spojrzę i widzę. Nawet jeśli nie chcę! Przez to bywam chyba uciążliwa, inni mogą myśleć, iż się czepiam. A ja tylko chcę, by to było dobre.

Lubię też swoją szczerłość. Nie boję się mówić wprost, co myślę, jeśli naprawdę jestem do czegoś przekonana. Do tego programu nie jestem. Nie chcę Pana urazić, ale czy spotkania są konieczne? Lepiej mi się pracuje w zaciszu domowym, gdzie mam czas i spokój potrzebne na przemyślenia. A zapewne Pan będzie zadawał trudne pytania;).

Czy to, co Panu napiszę lub powiem, zostaje między nami? Pan na pewno potwierdzi, ale tak serio pytam. Czy Pana obowiązuje tajemnica spowiedzi albo kontrakt? Czy to trafi do mojego szefa? Wolalabym nie.

Gdybym miała określić proces, wybrałabym liczbę trzydzieści, by ją trochę oswoić. Żeby była bardziej moja. Takie trzydzieści pytań Hanny, może być?

Jestem bardzo ciekawa naszej współpracy, czekam na dalsze informacje.

Serdecznie pozdrawiam,
Hanna Kruszyńska

Muszę je zadać. Ale tak bardzo nie chcę. Czuję, jak wielka klucha rośnie mi w gardle. Jak sproszkowane siemię lniane. Bezkształtna forma idiotyzmu.

Tymczasem pan M. wygląda sympatycznie. W granatowym garniturze i białej koszuli jest niemal przystojny. Tak bardzo nie chcę mu tego zrobić!

Profesjonalnie wita się ze mną i managerką Kosą. Uścisk dłoni jest pewny i towarzyszy mu spojrzenie piwnych oczu. Siadamy. Rozmowa idzie gładko i kandydat powoli się rozluźnia. Niestety, ten moment nadchodzi. Chyba umrę ze wstydu. Albo on zejdzie na zawal lub się wścieknie. Przecież to poważna rozmowa. Robi mi się gorąco, czuję ptonące policzki. W tle własnych myśli słyszę przytłumione pytania i odpowiedzi.

No już, zadaj je! Będziesz mieć to głupie zadanie z głowy. Jestem jak bohater skeczu Monty Pythona. Albo gwiazda kiepskiej reklamy działu HR. I jeszcze trafiło na Kosę. Skup się. Oczywiście, to musi być coś totalnie abstrakcyjnego. Nie na miejscu i w złym tonie. Zapada cisza. Kandydat czuje się pewnie w bitwie o wysokie stanowisko, na które aplikuje. A ja mam już w głowie te trzy zdania. 3... 2... 1...

– Gdyby miał Pan być warzywem, to jakim by Pan był? A jakim ja i koleżanka? I dlaczego?

Zapada cisza.

Przez twarz pana M. przewija się cała paleta emocji. Jego mina wyraża mieszankę „Chyba Pani odbiło”, „Co to za pytanie?!” i „Chyba śnię”. Widać, jak analizuje, co może zrobić z tym zadaniem. Tymczasem Kosa patrzy na mnie, a jej brwi niemal chowają się za grzywką. Milczymy. Chyba nie może być gorzej.

– I proszę to powiedziec po angielsku – wbijam mu dodatkową szpilkę. Kandydata zatyka. Nerwowo poprawia krawat. Mam ochotę śmiać się i płakać jednocześnie. Chyba wszyscy zwariowaliśmy.

– *That is a very good question.*

Dobry jest. Gra na czas.

– *You would be a tomato, because You look healthy. Your colleague – wskazuje na Kosę – a carrot, because she is slim. And I would be a cabbage, because I feel a bit silly right now.*

Idealnie. Głupia odpowiedź na głupie pytanie. I do tego wyka-
zał się ironią. Jestem z niego niemal dumna! Tylko... ja i pomidor?

– *How would you name a salad from those ingredients?*

– *A vegetable one?*

Trudno ocenić, czy pan M. pyta, czy stwierdza. Absurdalność tej rozmowy jest niemal fizycznie odczuwalna. Mam ochotę za-
paść się pod ziemię. A przynajmniej pod krzesło. Kandydat wyglą-
da, jakby dobrze się bawił, ironizując coraz śmieiej. Kosa dociska,
ale nie znęca się nad nim. Czyżby się wybronił? Poziom abstrakcji
podnosi się coraz wyżej. Chyba dotyka już moich ramion i lekko
tarmosi za uszy. „Tak bardzo Pana przepraszam!” krzyczy moja re-
kruterska dusza. Rwie się do tulenia obcego pana, ukojenia jego
candidate experience. Zapędy duszy skutecznie stopuje zbroja HR.
I tarcza z podkładki pod CV.

– Zadajesz nietypowe pytania. – Kosa tuż po wyjściu kandyda-
ta rzuca się na mnie bez wstępów. Zaraz mnie zjedzie. Wiem to,
ale wciąż szacuję rozmiar katastrofy. Tymczasem ona kontynuuje.
– Zainspirowałaś mnie. To pytanie ciekawie sprawdza elastyczność.
Pan M. pokazał też poczucie humoru i znajomość angielskiego.
Trzy w jednym. *Nice!*

W ostatniej sekundzie ratuję się uśmiechem numer 3. To mie-
szanka tajemniczego „HR ma swoje sposoby” i poufatego „Wiem,
co masz na myśli”. Ma zatuszować uporczywą myśl „Przecież to
było ZŁE! Co ona plecie!?”. Oddycham głęboko. Na szybko pró-
buję zlokalizować myślami przeponę. A niech to, oddech wystar-
czy. Przeponę znajdę później.

– Decyzję w sprawie Pana dam Ci do piątku.

Wychodzi bez pożegnania. Ona i jej grzywka skończyły zaszczycać mnie swoją obecnością.

Siedzę w salce konferencyjnej i wzdycham. W myślach stawiam krzyżyk przy pierwszym zadaniu z listy na ten tydzień: „Codziennie zrób coś, co jest totalnym zaprzeczeniem profesjonalizmu”. Genialnie. A to dopiero poniedziałek...

O KSIĄŻCE

Trzydziestoletnia Hanna jest trybikiem w korporacji. W codziennej pracy rekruterki mierzy się z setkami CV i listami wymagań kandydatów z branży IT. W zastępstwie za koleżankę zostaje delegowana do projektu coachingowego, który zaburza jej uporządkowane życie singielki. Wraz z kolejnymi trzydziestoma zadaniami Hanna przygląda się swoim wartościom, wizerunkowi i relacjom z innymi. Powoli coraz lepiej poznaje siebie, a w jej głowie pojawia się coraz więcej pytań o to, kim jest teraz i kim chce być. Ostatecznie staje przed wyborem kluczowym dla swojej dalszej kariery – czy kontynuować pracę w wielkiej firmie, czy otworzyć własny biznes, podążając za pasją i marzeniami.

Trzydzieści pytań Hanny rozpoczyna trylogię korporacyjną pisaną dla pokolenia Y przez jego przedstawicielkę. To właśnie „igreki” – uwięzione dziś w korporacjach – szukają dróg samorozwoju, oczekując od życia więcej, niż mają obecnie. Dlatego też dwa alternatywne zakończenia historii Hanny, przedstawione na końcu tomu, zostają rozwinięte w kolejnych częściach. Jedna z nich opowiada dalsze losy bohaterki po odejściu z korporacji, druga śledzi jej karierę w strukturach firmy. We wszystkich trzech książkach Hanna szuka odpowiedzi na pytania o sens życia oraz o to, jak odnaleźć szczęście we współczesnym świecie. Dzięki nietypowej strukturze powieści, czytelnik może razem z bohaterką kształtować swoje cele i ustalać sposoby ich realizacji. Główne przesłanie jest bowiem jedno niezależnie od zakończenia: to TY sterujesz swoim losem i jesteś odpowiedzialny za SWOJE szczęście.

Natalia Doległo

My trzydziestoletni

Błąd! – mówił ojciec do matki. – Tym jesteście: błędem. Jak na tych rysunkach, co pokazują, jak czegoś nie robić. Tak jest z nami. Z wielkim „Nie!” u dołu i czerwonym iksem na twarzy.

Etgar Keret, *Nagłe pukanie do drzwi*

Każdy z nas szuka jakiejś ucieczki. Godziny wloką się jedna za drugą, trzeba je czymś zapętnić aż do śmierci. Zbyt mało jest rzeczy pięknych i wzniosłych, żeby się chciało człowiekowi pchać ten wózek. Każda rzecz po krótkim czasie brzydnie i obumiera. Budzimy się rano, wysuwamy nogę spod kołdry, stawiamy na podłodze i myślimy: kurwa, co by tu dalej?

Charles Bukowski, *Hollywood*

Bezrobocie

Aleksandra, 31 lat. Skończone dwa fakultety i studia podyplomowe [to tylko jedna z bohaterek *Bezrobocia* – przyp.aut.].

Bycie bezrobotną jest dojmujące. Nagle ma czas, którego wcześniej tak bardzo brakowało. Tego czasu jest w nadmiarze i nie wie, co z nim robić. Więc nie robi nic, bo po co? Czasami wstaje z łóżka, ale nawet wyjście na zakupy wydaje jej się męczące (wmawia sobie, że to skutek uboczny leków przeciwlękowych, ale

to chyba nieprawda). Przegląda portale pracowe, wysyła CV, ale nikt nie odpowiada, nikt nie dzwoni. Minęło już tyle tygodni, a ona była zaledwie na jednej rozmowie kwalifikacyjnej. W call center.

– Jaka muszę być żałosna z tym swoim humanistyczno-jakimś tam wykształceniem. Z dodatkowymi studiami podyplomowymi, które miały gwarantować mi świetlaną przyszłość, a zagwarantowały tylko długi – mówi Aleksandra i ironicznie dodaje: – Śmiesz mnie też tytuł, jaki po nich uzyskałam: menadżer sportu. Dla mnie nawet szybsze chodzenie stanowi problem, nie mówiąc już o bieganii. I ja niby mam być menadżerem sportu? – prycha.

Ale przecież to na zarządzaniu w sporcie zawsze chciała się skupić. Jednak od niedawna to wszystko zaczęło ją tak cholernie męczyć. To wszystko jest tak bardzo przewidywalne: mecze, stadiony, konferencje. Te same twarze, ci sami ludzie, te same wyswiechtane frazesy. Zrozumiała też, że nigdy nie wejdzie do tego ich męskiego świata, nawet, jeśli ma coś do powiedzenia i doświadczenie. Tak więc wysyła CV (ma trzy różne i wybiera odpowiednie w zależności od tego, gdzie aplikuje: czy do prac ważnych, czy do mniej ważnych, czy znów do knajp i pubów).

Dla humanistów jest mnóstwo bezpłatnych staży w redakcjach i portalach.

– Według ogłoszeniodawców samo to, iż pozwalają odbyć staż w swoim wspaniałym medium, jest powodem do nazywania ich pracodawcami. Rzygać mi się chce, kiedy czytam o możliwościach stałej współpracy wolontaryjnej, uzyskaniu referencji i rozwijaniu swojego talentu. Ale nie poddaję się i wysyłam „cefatkę”. Nikt jednak nie odpowiada. Pewnie moje różnorakie doświadczenie mnie dyskwalifikuje. – Kręci głową smutno i proponuje, bym przeszła się z nią do Urzędu Pracy. Wtedy na własne oczy zobaczę, że w Polsce lepiej jest być osobą długotrwale bezrobotną, byłym więźniem, kobietą po urlopie macierzyńskim czy absolwentem uczelni wyższej do 26. roku życia. Takie osoby mają przy-

najmniej możliwość stażu. Ola nie załapuje się do żadnej z tych grup.

Urząd Pracy odwiedzamy następnego dnia z samego rana, by uniknąć kolejek i jak najszybciej zakończyć wizytę w tym przybytku. Mimo wczesnej godziny hall jest pełen. Pobieramy numerek i czekamy. Dyskretnie przyglądam się czekającym na swoją kolej. Jak później uświadomi mi Aleksandra, większość z nich nie ma zamiaru podejmować żadnej pracy. Do urzędu przychodzą tylko dlatego, by nie zabrano im ubezpieczenia i/albo zasiłku. Pracujący „na czarno”, osoby z tzw. chorobą alkoholową, matki wielodzietne.

W końcu wyświetla się numer mojej towarzyszk. Wchodzimy do odpowiedniego pokoju.

– Ale pani nie miała dzisiaj terminu – mówi pracownica Urzędu Pracy. Przed jej nazwiskiem widnieje: lic., co znaczy, że zakończyła swoją edukację na licencjacie. – Pani ma termin w poniedziałek i wtedy trzeba zgłosić – dodała.

– A czy nie mogłabym podpisać listy dzisiaj? – pyta cichym głosem Ola, bo wie, że w takich miejscach trzeba być jak najbardziej uprzejmą i nie narzucającą się.

– No przecież pani mówię, termin jest niezmienny, nic nie mogę zrobić.

Dwa miesiące wcześniej ta sama pracownica wyznaczyła jej poniedziałkową datę). Aleksandra daje za wygraną. Ale nie urzędniczka:

– Petenci nie rozumieją, że pracujemy na danej ustawie i terminy to nie jest nasze „widzimisię” – zapewnia. Ugina się chyba pod naszymi błagalnymi spojrzeniami. – Czy szukała pani pracy na stronach naszego urzędu?

– Oczywiście – przekonuje dziewczyna.

– Aha, bo pani szuka zatrudnienia jako asystentka albo pracownik biurowy?

(Aleksandra nie ma pojęcia, skąd taki pomysł. Skończyła dziennikarstwo i podyplomowo zarządzanie organizacjami sportowymi. Ma odbyte staże i praktyki w mediach, dorabiata jako pilot wycieczek, ale nigdy nie była asystentką czy pracownikiem biurowym. Nigdy nawet o takie stanowisko się nie starała).

– Niekoniecznie. Szukam czegoś jako dziennikarka, redaktorka, copywriterka. Może w biurach prasowych firm czy organizacji. W PR i gastronomii, ponieważ mam kilkuletnie doświadczenie z okresu studiów. Niestety, nieudokumentowane umowami. Rozumie pani, nie dostawaliśmy umów, nawet mało kiedy czasowe – mówi do urzędniczki Aleksandra.

– No niestety, nie mamy ofert dla żadnego z tych zawodów. Czasami jednak pojawia się coś dla aktorów. Gdybyśmy mieli taką propozycję w bazie, to wypisałabym pani skierowanie i zgłosiłaby się pani na rozmowę. No, niestety, akurat teraz nic dla aktorów nie ma – podsumowuje zupełnie poważnie pracownica urzędu.

Życie za najniższą krajową

Wykształceni, obowiązkowi i z doświadczeniem. Czego im brakuje do szczęścia? Pracy, w której zarabialiby chociaż trochę powyżej najniższej krajowej. Jak żyją ludzie z taką pensją? Na czym oszczędzają i o czym marzą? Sprawdziłam.

– Rzadko kiedy starcza mi pieniędzy do końca miesiąca, a przecież nie trwonię kasy – mówi 27-letni Maciej.

Najniższa krajowa w 2015 roku netto (na rękę) to 1286,16 zł. Należy jednak pamiętać, że przepisy dotyczące minimalnego wynagrodzenia nie uwzględniają umów cywilnoprawnych, czyli umowy zlecenia oraz umowy o dzieło. W praktyce oznacza to, że osoby pracujące na „śmieciówkach” mogą i często zarabiają znacznie poniżej tej kwoty. Wbrew pozorom w Polsce miesz-

ka gros ludzi otrzymujących tak niskie płace – i nie chodzi tutaj o osoby dorabiające czy też bez wykształcenia.

– Ciągle myślę o tym, co zrobiłam źle. W szkole byłam jedną z najlepszych uczennic, na studiach, co prawda humanistycznych, też nieźle mi szło. Po jakimś czasie zorientowałam się, że jeden kierunek to za mało, więc dobrałam drugi, ale przecież nie żadną filozofię czy antropologię kultury, tylko zarządzanie organizacjami. I po co mi to było? Mogłam zostać fryzjerką albo „tipsiarą”, przynajmniej żyłabym na normalnym poziomie – zdradza Aleksandra, freelancerka, która w dobrym miesiącu potrafi „wyciągnąć” nawet 1400 zł. W słabszym – 1200. Nie ma ubezpieczenia, do lekarza (jeśli koniecznie musi) chodzi prywatnie. Umowa? Zlecenie lub o dzieło.

– I tak się z niej cieszę, bo wcześniej przez kilka lat pracowałam na czarno. W różnych branżach: gastronomii, sprzedaży czy telemarketingu. Szukałam czegoś innego, właściwie ciągle to robię, ale zupełnie jakbym zatrzymała się w miejscu, chociaż to przecież nieprawda. I co z tego, że mam różnorakie doświadczenie, przecież student w ramach praktyk czy stażu będzie robił to samo za darmo. A ja przecież muszę za coś opłacić mieszkanie i rachunki – dodaje dziewczyna. Czynniki stanowią lwią część jej wydatków (pokój Aleksandry to koszt 620 zł).

Podobnie jest u Macieja. On co prawda dzieli lokum z bratem, ale zarabia nieco mniej – 1260 zł. Przynajmniej ma umowę na czas określony i ubezpieczenie zdrowotne.

– Skończyłem technikum hotelarskie, ale jestem operatorem linii produkcyjnej. Wynajmujemy dwupokojowe mieszkanie po znajomości, więc i tak płacimy mniej (600 zł z mediami za pokój). Do tego dochodzą wydatki na jedzenie, benzynę i telefon. Nie jest łatwo, chociaż i tak czasami wpadamy na obiady do rodziców i dostajemy od nich zapasy – przyznaje chłopak. – Jeśli się da, to pracuję w weekendy, wtedy stawka jest wyższa. Czuję się oszu-

kany nie tyle przez szefów, co przez państwo narzucające takie podatki i przez to niszczące przedsiębiorców – irytuje się.

31-letnia Agnieszka (technik administracji, pracuje w sklepie) także czuje się okradana przez rządzących.

– Najniższa krajowa jest żalosną kwotą. Za moją pensję – 1071 zł na rękę – nie byłoby mnie stać np. na wynajęcie kawalerki i usamodzielnienie się. Co prawda mieszkam z chłopakiem, ale i tak liczymy każdy grosz – mówi kobieta, która opłaca utrzymanie samochodu, kupuje jedzenie i benzynę.

Aleksandra, Maciej i Agnieszka zakupy robią w marketach, sami gotują, a potrzebne ubrania starają się znajdować na wyprzedażach. Kino? Od wielkiego dzwonu. Muzeum? (Aleksandra lubi sztukę) tylko wtedy, kiedy wejście jest darmowe. Imprezy? Do mówki i to raczej składkowe.

– Wbrew pozorom żywność naprawdę sporo kosztuje. Podobnie jest z samochodem. Ostatnio wyskoczyła mi nagła naprawa, a mechanik policzył sobie 500 zł. Nie miałem tyle, więc wpakowałem się w debet i sptacam go już kilka miesięcy. Mam nadzieję, że po premii świątecznej (!) się odkuję i będę znów mógł spokojnie żyć od dziesiątego do dziesiątego – przyznaje chłopak.

I rzeczywiście – niespodziewane wydatki to zhora wszystkich żyjących z otówkiem w rękę.

– Staram się je planować, ale kiepsko mi to wychodzi. Bo o ile na zakup butów czy kurtki możesz sobie odłożyć, to już kiedy dosięgnie cię, nie daj Boże, jakaś poważniejsza choroba, może być kiepsko. Wizyta lekarska to 80–120 zł. Leki drugie tyle. A co, jeśli potrzebnych jest kilka wizyt i pakiet badań? Wiem, co mówię, bo w zeszłym roku miałam taką sytuację. Pieniądze, z bólem serca, pożyczylam „na wieczne nieoddanie” od rodziców – przypomina sobie Ola i niespokojnie wyłamuje palce.

Każdy z rozmówców deklarował, iż chce albo więcej zarabiać (Agnieszka, Maciej), albo znaleźć lepiej płatną pracę (Aleksandra, Maciej). Co robią w tym kierunku?

– Mój zakład umożliwia mi zrobienie dodatkowych szkoleń, a te w przyszłości być może pozwolą mi na znalezienie czegoś lepszego. Czasami myślę też o wyjeździe za granicę, chociaż to mi się nie uśmiecha. Chciałbym kiedyś żyć tutaj jak normalny człowiek – twierdzi Maciej.

Aleksandra natomiast rozpytuje o zatrudnienie znajomych i do-rabia, gdzie tylko może.

– Przez podejmowanie dodatkowych zajęć zupełnie się „rozdrobniłam” i przestałam skupiać się na najważniejszym celu, czyli znalezieniu stabilnej pracy. Oczywiście, najlepiej takiej, by chociaż w minimalnym stopniu wiązała się z moim wykształceniem, ale to nie żaden wymóg – zaznacza młoda kobieta. – O, i na pewno już nie zgodzę się ani na call center, ani na sprzedaż. W obu przypadkach twoje zadanie polega na dzwonieniu do ludzi i namawianiu ich na kupno albo „nowoczesnych telefonów”, albo usług, których w większości nie potrzebują. I oczywiście jesteś rozliczana za wykonane transakcje. W takich pseudopracach często nawet nie oferują podstawy tylko „wysokie prowizje”. Dziękuję, przerabiałam to – smętnie kiwa głową Ola. Coraz poważniej rozważa powrót w rodzinne strony, chociaż bezrobocie jest tam dużo wyższe niż w Krakowie.

A przecież nie tak miało być. Dzisiejsi trzydziestolatkowie dorastali w czasach wielkich przemian – gdy chodzili do liceów, dostawali się na studia, Polska wchodziła do NATO, a potem do Unii Europejskiej. Rodzice i nauczyciele przekonywali ich, że jeśli tylko zdobędą odpowiednie wykształcenie, czeka na nich raj. Ten raj został jednak utracony, jeszcze zanim powstał.

– Człowiek pracuje i ciągle sobie czegoś odmawia, to niesprawiedliwe. A przecież mamy zwykłe marzenia. Ja chciałabym zaro-

bić na mieszkanie i nie martwić się o to, czy będzie mnie stać na jego utrzymanie. W przyszłości planujemy dzieci, więc powinny mieć godne warunki – zaznacza Agnieszka i ma nadzieję, że jej umowa w końcu zostanie przedłużona na czas nieokreślony.

W czerwcu rząd przyjął propozycję Ministerstwa Pracy i Polityki Społecznej dotyczącą wzrostu płacy minimalnej o 100 zł. W 2016 roku miałyby ona wynieść brutto 1850 zł, czyli ok. 1355 zł „na rękę”. Maciej nie ma złudzeń:

– Za takie grosze nie da się żyć normalnie, nie mówiąc już o założeniu rodziny.

Bo o ile życie w pojedynkę można jeszcze jakoś zorganizować, to przy tak niskich poborach posiadanie dziecka nie wchodzi w grę.

– Jakby to miało wyglądać? Ja 1200 zł, mąż 1200, mieszkanie przynajmniej połowę z tego i jeszcze dziecko? Nie żartuj – kończy smutno Ola.

O KSIĄŻCE

Na początku lat 80. narodziło się w Polsce pokolenie wielkiego wyżu demograficznego. Gdy w wieku 19 lat zdawało maturę i zaczynało studia, padło ofiarą oszustwa edukacyjnego, ale wtedy jeszcze nikt o tym głośno nie mówił. To pokolenie w większości nie umiało wybrać ścieżki życiowej, a dorośli nie umieli doradzić, ponieważ dla nich samych przemiany społeczne na taką skalę były nowością.

To „Generacja nic 2.0”, która o nic nie walczyła, bo nie musiała, a szeroko rozumianą wolnością się zadławiła. Okazało się bowiem, że zabrakło dla nich nawet nie dobrze płatnej pracy, ale pracy w ogóle (no chyba, że znali kogo trzeba lub zdecydowali się na emigrację). Zmuszeni do szybkiego zrewidowania swoich oczekiwań zawisnęli w próżni. Z lękami o przyszłość, kredytem, depresją, uzależnieniami. Ale i z nadzieją. Na lepsze jutro, powrót do Polski i ułożenie sobie życia, na wyleczenie.

My, trzydziestoletni to nie autobiografia pokolenia transformacji, jak *Znaki szczególne* Pauliny Wilk, ani opowieść o mitycznych latach dziewięćdziesiątych (Dominika Słowik, *Atlas: Doppelganger*), jednakże pojawiający się w reportażach temat transformacji stawia je obok tekstów Sławomira Shutego, Michała Witkowskiego czy Mariusza Sieniewicza, czyli autorów, którzy w swoich książkach dogłębnie penetrują społeczne reperkusje kapitalistycznych zmian.

My, trzydziestoletni to kilka opowieści osób z tzw. „straconego pokolenia” i reporterska próba odpowiedzi na pytanie: czy wciąż mają szansę na inne, lepsze życie.

Anna Dutka

Marianna

Gdy pewnego dnia Marianna zobaczyła nad sobą dwie głowy, pochylone nad starszą kobietą leżącą plackiem na chodniku, uświadomiła sobie, że pora coś zmienić w życiu. Ubrała najlepszą jesionkę, upięła włosy i ze starannie wykaligrafowanym pismem skierowała kroki w stronę spółdzielni mieszkaniowej. W duchu przeklinała, ale niezbyt mocno, bo dosadny język zawsze uważała za wyraz bezradności, a na tę aż tak znowu nie narzeką, ale jednak przeklinała, bo dreptała jak staruszka. I nic nie zmusiłoby jej do napisania ogłoszenia i pójścia z nim do spółdzielni, gdyby nie to, co usłyszała, gdy wtedy upadła. Niefortunnie się poobijała, ale nie to było najgorsze. Znacznie gorzej zniosta, gdy ów chłopiec, wzywając karetkę, nazwał ją właśnie staruszką. Ją! Marianna wówczas niemal odzyskała siłę i zerwała się w swoim mniemaniu na nogi, chwytając zresztą młodzianina za tydkę tak mocno, iż ów wypuścił chyba ważną dla niego rzecz, bo w tym samym momencie całą troskę i uwagę skierował na swoją komórkę, uwalniając się od Marianny niczym od złośliwego insekta.

A zatem nie jest staruszką, co powinno być jasne, zwłaszcza gdy człowiek się nią nie czuje. Kroki, dzięki którym tę samą trasę niegdyś pokonywała właściwie przelotem, teraz odliczała z niecierpliwością, spoglądając na zegarek i obstawiając, kiedy wreszcie dojdzie na miejsce. Pocieszała się, że jest starsza od Zenka z siódemki

i z pewnością od Stachy, gdyż ta mimo dziesięciu lat przewagi już od dawna podierała się laską, co według Marianny jedynie świadczyło o braku woli walki. Ci z balkonikami, to w ogóle osobna liga. Sama narzuciła sobie żelazną rutynę dnia i niezmiennie codziennie o siódmej wskakiwała, oczywiście w wymiarze symbolicznym, na rower i pruća, oczywiście w swoim mniemaniu, na Kleparz po zakupy. Wciąż też miała siłę na wycieczki na Tomex, co obecnie zajmowało jej dwie i pół godziny w jedną stronę, a zatem razem z zakupami czasem nawet sześć, i bez dwóch zdań zastugiwało tym samym na miano wycieczki. Te prawdziwe znajdowały się poza zasięgiem Marianny. Za brak aktywności w wieku dziewięćdziesiąt plus obwiniła rząd hiszpański, gdy ten z niezrozumiałych dla niej względów swoje wysiłki przyciągnięcia nowej grupy turystów skupił na osobach pięćdziesiąt plus i trudno było pojąć, dlaczego ludzie od tego wieku w górę mają się bawić razem i dlaczego nie z tymi np. trzydzieści plus. Marianna mianowicie zawsze uważała towarzystwo mężczyzn w wieku trzydzieści plus za dużo bardziej atrakcyjne niż tych pięćdziesiąt plus przypominających, umówmy się, zdeformowaną wersję tych pierwszych.

Odkąd w jej klatce pojawił się młody mężczyzna, mobilizacja wszystkich wdów przerosta nawet jej wyobrażenie, a z racji wieku Marianna już sporo widziała i w jej ustach to nie był frazes. Zawsze miała słabość do młodszych mężczyzn, uważając witalność za ważny element związku. Gdy więc przemiły młody człowiek po raz pierwszy pozdrowił ją na schodach, jej serce przyspieszyło, rumieniec uroczo rozpałił policzek, aż chwyciła poręcz, łapiąc oddech, który na moment straciła. Poprawiła odruchowo włosy, wciąż tym samym gestem, jakby dłoń miała zmierzyć się z ich ciężarem i gęstą burzą loków.

W domu Marianna najpierw zobaczyła swoje odbicie w nieco wprawdzie zmatowiałym lustrze, lecz na tyle wyraźnie, by się skarcić i w myślach, i w czynach. „Psiakość, wyglądam jak stara

baba". Tak właśnie odkryła kolejny powód do zmiany w swoim życiu. Ale wracając do tego nowego sąsiada, bo Marianna nie ukrywała, że zajmował część jej myśli, doszło pomiędzy nimi do bardzo bliskiego spotkania. Młodzieniec obudził sąsiadkę grubo po północy, alarmującym łomotem w drzwi obwieszając, iż leje mu się z sufitu.

Marianna, odkąd pamięta, zawsze żywiła szczerze zamiłowanie do literatury sensacyjnej, thrillerów i tym podobnych. Poza tym lata jej młodości przypadły na szczyt popularności filmów z Bogartem, zatem czuła się wytresowana w dreszczach emocji, te jednak nieco ją przerosły. Zwłaszcza gdy przeszła obok lustra. No i to nie był miły widok. Postanowiła z samego rana zmienić dodatkowo w pierwszej kolejności dwie rzeczy: kupić sobie bardziej seksowną podomkę na wypadek kolejnego hipotetycznego albo niehipotetycznego zalania sąsiada i zrobić włosy. Dotąd szpakowaty uważała za kolor mądrości, więc i intelektualistów, stąd też nie czuła potrzeby ujmowania sobie tego zabiegami koloryzacyjnymi. Jednak straciła tę pewność na widok młodzieńca mierzwiącego w przepaszającym geście czarną burzę włosów, właściwie bardzo seksi, co zapewne widziałyby wyraźniej, gdyby zdążyła włożyć okulary.

W gazetce z programem telewizyjnym, kupowanym, by ogarnąć rozmach, z jakim oferowano jej dostęp do świata informacji, znalazła porady polepszające jakość snu. Ewidentnie spanie nago sprzyjało i zdrowiu, i kondycji, i lepszemu samopoczuciu. Było też lepsze – Mariannie nazywanie pewnych części ciała przychodziło z trudem – więc powiedzmy dla „tego miejsca”. A zatem postanowione.

Przejazd do Galerii Krakowskiej niczym się w mniemaniu Marianny nie różnił od rutynowych zakupów. Ta sama odległość, te same ścieżki rowerowe. O ile właśnie nie zdzierali tej pod Centrum Kongresowym. Choć tak młode, zdecydowanie bardziej sypało się

od, obiektywnie rzecz ujmując, niemłodej Marianny. Włożyła rękawiczki rowerowe, odblaskową kamizelkę, i niemal gotowa do wyjścia postanowiła zamiast w spodniach pojechać w sukience. Z krótkim rękawem (sic!). O tym, że nie powinna takich nosić, dowiedziała się trzydzieści lat temu. A jeszcze wcześniej poznała smak aluzji na ten temat.

Marianna miała zawsze zapobiegawczy stosunek do przedmiotów. Niczym kobiety z pokolenia jej mamy nieustannie przechowywane niewielkie zapasy mąki i sucharów, tak na wypadek kolejnej wojny. Oczywiście obecnie Marianna zamieniła suchary na chleb Vasa, mimo bardzo miłego pana doktora, twierdzącego, że solidne implanty pozwoliłyby jego pacjentce odzyskać dawną siłę gryzu. Mówił jednak o tym podobnie jak weterynarz, do którego chodziła ze świętej pamięci Sempresikiem, tłumacząc jej przewagę teriera szkockiego w stosunku do innych psów i mierząc ją siłą, z jaką ta psina potrafiła zmiażdżyć kość udową dorosłego mężczyzny. Marianna nie miała przekonania, czy chce być aż tak silna, a przed oczami miała jeden z odcinków Bonda i to już doprawdy ją zniechęcało do takich zabiegów regeneracyjnych.

Wychodząc, Marianna usłyszała krzątanicę za drzwiami pana Henia. Sąsiad już kilka lat przed śmiercią żony próbował ją podewrwać, proponując przebicie ścian i połączenie ich mieszkań w nieodległej przyszłości. Westchnęła ciężko, pamiętając o właściwej wentylacji płuc polepszającej pracę serca, i potruchtowała do piwnicy. Oaza spokoju i zieleni, jaką niegdyś było osiedle Podwawelskie, wraz z pojawieniem się szklanego potwora przy rondzie Grunwaldzkim, zamieniła uroczą uliczkę w drogę niemal szybkiego ruchu, gdzie jeszcze kilka lat temu najszybciej poruszali się znajomi z balkonikami. Marianna należała jednak do pokolenia dzieci budowniczych tego kraju, wychowana w duchu oporu, nie pozwalała sobie na odbieranie wolności, z jaką pokonywała tę trasę niezmiennie przez tyle lat. Widok jednak dziewięćdziesięciodwu-

letniej kobiety na rowerze, jakkolwiek wyglądającej na dziesięć lat mniej, mógł wywołać stan przedzawałowy u niejednego kierowcy. Marianna nie do końca wiedziała, czy ich poruszenie to wynik zgrozy wywołanej widokiem kobiety pędzącej na najniższej przeczucie Alejami, czy jednak reakcji na teźże urodę. Przyzwyczajona do reakcji mężczyzn niepozostających obojętnymi na jej walory, Marianna nie przywiązywała wagi do sposobu ich reakcji, tłumacząc sobie, że wyposzczenie seksualne w każdym wieku objawia się identycznie. Z takim samym stoickim spokojem przeczytała artykuł o dwudziestoczterolatku, co to niedawno zgwałcił na osiedlu osiemdziesięcioczeroletnią kobietę. „No cóż”, wyrwało się jedynie Mariannie z ust, gdy przewracała stronę gazetki z newsami.

Parkując pod Galerią Krakowską, Marianna nie bardzo mogła się zmieścić ze swoim rowerem. Młodzieniec, szczerzący zęby w uśmiechu, podbiegł, odpinając swój, a podnosząc go w górę, pięknie naprężył mięśnie przedramienia, aż Marianna na moment zupełnie zapomniała, po co tu przyjechała. Ze schodów ruchomych nie korzystała, na tyle, na ile się dało, bo to w jej mniemaniu pierwszy stopień do balkonika, a na ten nie zamierzała się przesiadać. Więc nawet gdy już musiały ich użyć, to po nich chodziła, nie reagując na komentarze w stylu „gdzie ci się, babciu, spieszy”, bo wraz z wiekiem Mariannie osłabł nieco słuch, co by ją bardziej ucieszyło, gdyby miała świadomość, ilu głupot dzięki temu nie dostączy.

Marianna pod naporem fali ludzi obracała się raz w prawo, raz w lewo, po czym straciła orientację i, przyciskając dłoń do pierśsi, odszukała pierwszą wolną ławkę. Siedziała na niej, wstuchując się w donośną reklamę dobiegającą z głośnika, muzykę ze sklepu naprzeciwko i głośną rozmowę dziewczyn siedzących obok i trajkoczących o zakupach. Chwilę pooddychała, szykując się na kolejne podejście. Rozglądając się dookola, poprosiła rozgadane dziewczyny o pomoc w znalezieniu poszukiwanego sklepu. Za-

miast tego dowiedziała się o istnieniu punktu informacji, nie do końca spełniającym jej oczekiwania. Zamiast uśmiechniętej pani, stał tam pionowy pojemnik z ekranem. Ludzie podchodzili do niego i palcami wystukiwali pożądane informacje. Marianna była osobą otwartą na nowinki techniczne, więc postanowiła pokonać kolejną barierę, udowodniając sens uczenia się przez całe życie. Musiała najpierw jednak zmienić okulary. Zanim je wygrzebała z plecaka, uformowała się obok zniecierpliwiona kolejka. Nie bardzo wiedząc, w co puknąć, stała chwilę z wyciągniętym językiem, a niepewność pierwszego razu walczyła z egzaltacją o pierwszeństwo na jej twarzy. W końcu zastukała, nie wywołując żadnej reakcji. Młoda kobieta stojąca za nią cmoknęła głośno, bynajmniej nie z aprobatą i zrezygnowała z czekania. Marianna zastukała drugi raz w inne miejsce i roześmiała się na głos, szukając potwierdzenia swojej radości u chłopaka stojącego tuż za nią, ale jego cieszyło coś, co właśnie zobaczył na swoim smartfonie, więc nie bardzo miał świadomość, co się dzieje w sercu Marianny.

– Może pani pomóc? – kobieta stojąca za chłopakiem wydała się Mariannie wystarczająco wysmakowanie ubrana, by skierować jej kroki do właściwego sklepu z bielizną. I gdy Marianna powiedziała, czego szuka, ta podeszła i pukając w ekran, wystukała ten właściwy, pokazując niewielkich rozmiarów kwadracik. Wsunęła jej jeszcze w rękę ulotkę z mapką, stukając w punkt, gdzie się znajdują, i dokąd powinna się udać.

Godzinę później Marianna siedziała na ławce, chyba tej samej co wcześniej, chociaż pewności nie miała. Nieustanny szum i ruch przyprawił ją o ból głowy, w dodatku zbliżała się pora na leki, a te zostawiła w domu. Znalezienie drzwi wyjściowych może nie było takie skomplikowane, jeśli się tylko pytało ludzi o drogę, ale Mariannę wyrzuciło z galerii w miejscu zupełnie innym. Traktując życie jak przygodę, dała nura w tłum i szta, trzymając się prawej strony, aż doszła do kolejnego wyjścia, w żadnym razie nieprzy-

pominającego tego, gdzie zostawiła rower. Niezrażona dopytywała o następne. Godzinę później bez seksownej podomki, z pulsującym czołem, głodna i nieco wyczerpana, posapując, dosiadła rower i wróciła do domu.

Henio otworzył drzwi, poprawiając wycieraczkę i pytając, gdzie tak długo bawiła. Zaróżowione od wiatru policzki mógł wziąć za dowód ekscytujących przeżyć, a gdy usłyszał prawdę, pokiwał ze zrozumieniem, jak jednorazowy bywalec klubu go-go naciągnięty na dług życia, zniechęcając się do kolejnych odwiedzin. Marianna machnęła w wyobraźni ręką i utyskującego na całą klatkę Henia zaprosiła na placek ze śliwkami, bo tylko tak mogła zamknąć mu buzię. Przejawiała jednak zbyt wiele wiary w ludzi, bo Henio, nawet krztusząc się kolejną porcją ciasta, dudnił na całe mieszkanie, dzieląc się uwagami odnośnie miejskich inwestycji w kolejne siedliska zła, jakimi w jego mniemaniu były wielkopowierzchniowe galerie niszczące lokalną przedsiębiorczość. Marianna nagle sobie uświadomiła, że ma tu do czynienia z systemowym problemem społecznym, skoro ani ona, ani dość przecież ogarnięty Henio nie potrafią załatwić rzeczy tak prozaicznej, jak zakupy. Nie namyślając się dłużej, palnęła coś, co miało w niedługiej przyszłości znacząco wpłynąć na ich życie, i zaproponowała wspólne okietzanie potwora. Henio zamarł, chwila była pełna dramatyzmu i napięcia, zważywszy jednoczesne jedzenie ciasta i wstrzymywanie oddechu. To się mogło, analizując okoliczności, naprawdę źle skończyć, ale szczęście, przynajmniej na początku, najwyraźniej dawało znak, potwierdzając swoją obecność. Głośno przeżykając placek, szerokimi oczami patrzył na Mariannę śmigającą po kuchni w tę i we w tę, a potem na jej kuszące wargi w szerokim uśmiechu niedającym mu od dawna spokoju, zwłaszcza nocami. Henio wiedział, że droga do serca tej kobiety prowadzi wyboistymi drogami i zdobycie go będzie być może jego ostatnim życiowym wyzwaniem. Wszystko to coś jednak słabo podgrze-

wato jego zapał, przynajmniej dopóki brew Marianny w zachwycającym geście nie uniosła się w górę, przypominając Heniowi inne miłe chwile, wprawdzie nie w towarzystwie Marianny, ale tu chodzi o skojarzenia, a nie konkretnego człowieka. Podążając za głosem, za którym podążał od czasu osiągnięcia dojrzałości seksualnej, pomyślał sobie „A, co tam”, a na głos rzekł, by zabrzmiało to dumnie i męsko:

– Marianno, z przyjemnością ci pomogę.

O KSIĄŻCE

Akcja powieści rozwija się w dwóch planach czasowych. Poznajemy Mariannę współcześnie, gdy ma 92 lata. Mieszka na osiedlu Podwawelskim, gdzie w swoim czasie poznała i zaprzyjaźniła się z Dorotą Terakowską, inspirując ją do napisania *Tam, gdzie spadają anioły*. Jest też sąsiadką Ewy Owsiany. Pewnego dnia napisze do Mariusza Szczygła list, w którym upomni się o pamięć dla polskich reportażyistów, co zainspiruje dziennikarza do napisania epokowej antologii polskiego reportażu.

Pewnego dnia Marianna niefortunnie upada i stygry od obcego, młodego chłopaka, że jest staruszką. Te słowa stawiają kobietę do pionu, postanawia wziąć życie ponownie w karby i spełnić marzenie o zobaczeniu jeszcze raz zorzy polarnej. Zakochana w dalekiej Północy, którą zwiedziła dzięki pracy męża, stała się jej ogromną mitośniczką. Ale jej marzenie skrywa pewną tajemnicę, której kobieta nie zdradza niemal do końca. W realizacji planu pomaga jej Henio, sąsiad, który się w niej podkochuje, i Zenek, kolega z osiedla. Wszyscy troje wynajmują swoje mieszkania, żeby zarobić na podróż, w którą wkrótce się wybiorą. Trójka wzbudza ogromne zainteresowanie mediów szwedzkich, dla których stają się sensacją. Na zaproszenie Anne Lagercrantz, szefowej działu w szwedzkiej telewizji publicznej SVT, będą gościć u niej w domu, gdzie Marianna przez przypadek przeczyta kontynuację Millennium i podpowie Davidowi, jak podkreślić jej akcję.

Marianna w wieku 90+ zostanie ikoną ruchu 90+, który powstanie za-
inspirowany jej życiem. Wpłynie też na polityków na całym świecie, którzy
masowo zaczną deregulować rynek, przywracając osobom starszym pra-
wo do godnego starzenia się. Domy starości przestaną być przechowal-
niami osób starszych, lecz zmienią się w ośrodki życia kulturalnego.

Joanna Fiakier-Krakowski

Love w Krakowie

*Sing-Sing nazywają go,
bo ma w oczach coś takiego, samo zło.
Nie hoduje zbóż, ma w kieszeni nóż,
a ja nie wiem po cooo...*

*Sing-Sing pokochałam go,
popłynęłam jak za lordem, aż na dno.
Cały dzień by spał, w nocy w karty grał,
a ja nie wiem o cooo...**

Z kaszkietem nasuniętym na czoło, tak że ledwo było widać jego świdrujące oczka, z rękami w kieszeniach, petem między zajęczką wargą a zębami, wzrostu na oko metr sześćdziesiąt w kapeluszu, sprężynującym krokiem Love wszedł do baru.

Dla przyjaciół Love. Dla nieprzyjaciół Hate. Oba te słowa miał wytatuowane na kostkach dłoni. HATE na prawej, która dość często lądowała na cudzych szczękach. Chociażby z powodu jego kompleksu niskiego wzrostu. LOVE na lewej. Złośliwi śmiali się za plecami Love, że to przez to, że leworęczny był i tą ręką sobie dogadzał, jak go żona do łóżka nie wpuszczą. On twierdził, że tak jest, bo to ręka od serca. A po angielsku, bo to modne, a zawsze

* *Sing-Sing* – wykonawca M. Rodowicz, tekst A. Osiecka, muzyka J. Mikuła.

zależało mu na wizerunku. I trochę ten język kaleczył swoją jego znajomością.

Podszedł do baru.

– Piweczko! Z nurkiem.

Dostał. Nikogo nie dziwił ten opryszkowaty jegomość. Wszyscy bywalcy baru wiedzieli, że różnych Bozia ma lokatorów i wielu już jemu podobnych przewinęło się przez lokal.

Rozejrzał się wokół lisimi oczkami. Dostrzegłszy karciarzy, podszedł, zabierając po drodze krzesło. Postawił je przy stoliku pod szybą, usiadł i bardziej stwierdził, niż zapytał:

– Nie mają nic panowie naprzeciw, jak się dosiądę, nie? Karty to moja pasja życiowa.

– Ależ skąd – odparli jak jeden mąż. – Gra pan w brydżyka?

– Oczywiście sprawa. Bardziej pokerek, ale brydżyk również.

Nie należy gardzić potencjalnym partnerem brydżowym. Nie-raz jedna ze zniecierpliwionych żon, matek lub kochanek dawała szlaban na wyjścia do baru i co rusz brakowało czwartego do gry. Żale z tego tytułu pozostała trójka topiła w piwie, co nie było wyjątkową sprawą, i oddawała się dysputom na ponadczasowe filozoficzne, polityczne czy sportowe męskie tematy.

– Love – przedstawił się, podając dłoń każdemu. Nie zdziwiło to czwórki w komplecie do brydża, co zdziwiło Love, przyzwyczajonego do tłumaczenia wszystkim genezy swojej ksywki. Przystał się dziwić, gdy okazało się, że przy stoliku siedzieli już: Gonzo, George, Dzidek i Młody.

Zresztą czwórka brydżystów wykazała się spostrzegawczością i zauważyła tatuaże na kostkach rąk.

– To może pokerek na razie, skoro jest nas pięciu, po dziesięć groszy na wejście?

Kiwnęli głowami na zgodę. Karty zostały rozdane. Ograli go do ostatniej groszówki w kieszeniach. Taki miał plan. Musiał się wkuścić w towarzystwo. Zresztą skupiał się nie tylko na grze, ale rów-

niez na tym, co się działo w barze. Brunetka, która wpadła uregulować rachunek z dnia poprzedniego, też zahaczyła jego oko. Rachunek nie należał do najmniejszych.

Wygląda na to, że będzie się działo i będą to całkiem mile spędzone chwile w tym lokalu – pomyślał. Lubił łączyć pracę z przyjemnymi rzeczami. I jeszcze mu piwo postawili w zamian za przegraną... Istny raj.

– Panowie często tu tak przesiadują? – zagadnął.

– No, codziennie chyba...

– To świetnie się składa – zapiął uradowany. – Ja tu, widzicie, panowie, przeprowadziłem się na jakiś czas na dzielnicę i miło poznać nowych kolegów.

– A długo pan tu zabawi? – zapytał Gonzo.

– To zależy od roboty, ale pewnie trochę się tu pokręcę.

– A co pana sprowadza w nasze strony, że się tak zapytam?

– teraz zagadnął Dzidek.

– A interesy i takie tam. Pewne sprawy muszę załatwić.

– Czym się pan zajmuje, jeśli można? – nadeszła kolej George'a.

– Odzyskuję dane, można tak powiedzieć.

– Informatyka... To teraz podstawa w interesach – skwitował z podziwem Dzidek, a pozostała trójka przytaknęła z aprobatą. Love się napuszył.

– Kolejka dla wszystkich! – krzyknął do Gienia. Na szczęście dla Love'a, oprócz ich piątki przy stoliku karcianym siedział tylko Balon przy barze. Dochodziło południe.

Do lokalu wszedł Bogusz. Love przyglądnął się mu jak każdemu wchodzącemu. Tym razem mruknął do siebie zadowolony znad kart:

– O, jest profesorek...

– Piwko? – zapytał Gienek nowego klienta, przecierając bar.

– Ale mate.

- Małego się nie optaca – odparł barman.
- Jeszcze na uczelnię muszę iść. Nie było Teški? Love zastrzygł uszami.
- Klient nasz pan – powiedział Gienek, stawiając maty kufel na wafłu na barze, jednocześnie odpowiadając na zadane pytanie:
- Nie, nie było jej jeszcze. Nie widziałem, żeby też gdzieś wychodziła. Ewka tylko wpadła uregulować rachunek.

Bogusz upił tyk małego piwa, którego się nie optaca, i wdał się w niezobowiązującą rozmowę z Balonem, zagadując go o wyniki Cracovii.

Love spojrzął na telefon w celu znalezienia pretekstu do wyjścia i rzucił:

- Muszę lecieć, interesy wzywają.
- Mus to mus – usłyszał w przyzwalającej odpowiedzi.

Wyszedł z baru Parkowego. Nałożył kaszkiet i naciągnął go tak bardzo na czoło, że spod daszka wyglądały tylko świdrujące lisie oczka. Rozglądnął się, stawiając jednocześnie kotnierz palta.

Swoim zachowaniem i wyglądem przypominał teraz szpiega X-54 z kreskówki *Porwanie Baltazara Gąbki*. Ruszył w kierunku parku. Już jednak nie sprężynującym krokiem, ale ze zgarbionymi ramionami, skulony w sobie, z pochyloną na przykrótkiej szyi głową. Daleko przed siebie wyciągał czubki szpiczastych butów, bądając nimi zdradzieckie przestrzenie rozlanego przed nim asfaltu. Dokładnie tak, jak to robił szpieg z Krainy Deszczowców.

Przeszedł przez jezdnię, wszedł do parku, stanął za największym drzewem i obserwując wejście baru Parkowego, zapalił papierosa. Później kolejnego i kolejnego, aż usłyszał pacnięcie na swoich plecach.

– Karamba! – wrzasnął, słusznie podejrzewając krakowskie latające szczury.

Najpierw miotał się, szukając chusteczki w przepastnych kieszeniach palta, później szamotał się, ściągając to palto. Aż oczy

zaszły mu łzami od dymu nagromadzonego pod daszkiem nisko nasuniętego kaszkietu. Dymu z trzymanego w zębach papierosa.

Tymczasem Bogusz dopił trzecie małe piwo, którego się nie optaca, włożył czapkę z daszkiem i nieśpiesznie opuścił bar Parkowy. Przeszedł przez jezdnię i idąc chodnikiem wzdłuż parku, skierował się w stronę uczelni.

Wkurzony efektem swoich wysiłków usunięcia ptasiego gówna z pleców palta, Love cisnął chusteczką o trawnik. Rzucił okiem w stronę baru i widząc powoli domykające się drzwi, wydał z siebie ciche:

– O, kurwa! – i nerwowo zaczął rozglądać się za Boguszem.

– Jest! – syknął z ulgą, zauważywszy zatawionymi oczami fałującą czerwoną czapeczkę z daszkiem w połowie ulicy ciągnącej się wzdłuż parku. Wypluł dopalającego się w ustach peta i ruszył długimi, na ile pozwalały mu tylko jego przykrótkawe nogi, krokami w pogoń za profesorem.

Trzymając się w bezpiecznej odległości i nie opuszczając schronienia, jakie dawał mu park, śledził profesora do skrzyżowania. Następnie wmieszał się w tłum przechodniów, później studentów pod samą uczelnią i wszedł niezauważony przez Bogusza do głównego budynku AGH. Tylko w takich sytuacjach bywał wdzięczny losowi za swój niski wzrost. Co jakiś czas musiał tylko wspiąć się na palce, aby nie zgubić ofiary.

Właśnie wychylił się ponad tłumem, gdy czerwona czapka zniknęła za zamykającymi się drzwiami. Przeszedł, jak gdyby nigdy nic, w dół korytarza, jednocześnie rejestrując numer 313 na drzwiach. Tabliczka obok potwierdziła, że jest on zajmowany w celach przeprowadzania badań naukowych przez pracownika uczelni, profesora Bogusza Mokrego.

Rozejrzał się dookoła, szukając zakamarka, gdzie mógłby się przyczaić. Dostrzegł w korytarzu wnękę między gablotami

z różnego rodzaju skamielinami, przedstawiającymi historię Ziemi. Przyczał się, niby studiując skamieliny, niby odpoczywając w trakcie zwiedzania, i oparł o bok jednej z gablot tak, aby mieć na oku drzwi gabinetu. Czekał.

Czekał z rękami w kieszeniach i wzrokiem jak lis na polowaniu. Cierpliwie. Chciał czymś zabić czas, więc bawił się nożem schowanym w palcie. Obracając go w ręce, czuł chłód jego ostrza. Jeszcze nigdy go tak naprawdę nie użył, ale nigdy też nie pracował dla tak dużego klienta, i to zagranicznego.

Trafiło mu się w sumie jak ślepej kurze ziarenko. A to dlatego, że nudząc się podczas swoich wielokrotnych odsiadek za różnego rodzaju „drobne przewinienia” typu: wyłudzenia, zastraszanie czy też oszustwa, tłumaczył sobie teksty angielskich piosenek.

A zaczęło się to w momencie, kiedy podczas drugiej odsiadki dzielił celę z Krwawym Bolkiem i Lalunią. Bolek, odsiadujący długi wyrok za pobicie ze skutkiem śmiertelnym, stęsknił się za wszelkiego rodzaju uciechami cielesnymi.

Lalunia, pomimo nadanej mu ksywki, był jak najbardziej hetero. Jednak walory, jakimi obdarzyła go natura, zdawały się temu zaprzeczać. Siedział za wyłudzenia dokonane na zakochanych w nim po uszy kobietach. Mówiąc wprost: męska dziwka. Niemniej hetero...

Gdy tylko Love słyszał: „następ się, Lalunia”, wciskał słuchawkę mp3 głęboko do uszu. Nie chciał słyszeć stękań Bolka i pochlipowań Laluni, który nijak nie mógł znaleźć wyjścia z zaistniałej sytuacji i żelaznego uścisku Krwawego Bolka.

Czasami tylko, gdy się zapomniał i odwrócił na pryczy od ściany, zauważał błagające o wybawienie z opresji okrągłe, brązowe, okolone długimi rzęsami oczy klęczącego na czworaka Laluni. Cielęcy, coraz bardziej wybatuszany kolejnymi posuwaniami Krwawego Bolka wzrok Laluni budził w nim obrzydzenie. Dlatego od tej pory nie jadł cielęciny, ani innej „krowiny”, jak to mawiał.

Mimo wszystko powinien być wdzięczny losowi za zamknięcie z Lalunią. Gdyby nie on, prawdopodobnie to Love wybatuszałby wtedy lisie oczka. Wzdrygał się na takie myśli, zaciskał oczy, wstuchiwał się w teksty angielskich piosenek i marzył. Marzył o zachodnim pięknym świecie i przekrętach robionych na wielką skalę, i to w obcej walucie. Wtedy aż oblizywał się na samą myśl.

Gdy Krwawy Bolek opadał spocony na pryczę, wstawał ze swojego wyrka i grzebał w słownikach, szukając znaczenia słów zastyszanych w piosenkach. Od tego czasu zaczął pilnie uczestniczyć w więziennych kursach języka angielskiego, organizowanych w ramach resocjalizacji. Częste wpadki umożliwiły mu ukończenie wszystkich stopni kursu z wynikiem „celujący”, wprost proporcjonalnym do ich miernego poziomu.

W hierarchii więziennej przeskoczył też o poziom wyżej w oczach współwięźniów – jako pretendujący do szwindli o zasięgu międzynarodowym.

Miesiąć temu jego trud i pasja zaowocowały. Kumpel kumpla szefa szajki z zakolegowanego osiedla dał mu cynk, że gruba ryba potrzebuje do dużej, ale delikatnej roboty, niewyróżniającego się specjalisty ze znajomością języka angielskiego. Tak poznał Ericssena.

Teraz stał na korytarzu i czekał. Poczut uwalniający się spod drzwi gabinetu dym papierosowy. Zachciało mu się palić. Zaczął nerwowo grzebać w drugiej kieszeni. Jako profesjonalista przygotował się na wszelkie ewentualności. Wygrzebał paczkę gum nicorette. Wrzucił od razu dwie do ust i zaczął żuć.

Musił czekać. Czekać, aż profesor wyjdzie. Pamiętał polecenie mocodawcy:

- Bez rozgłosu i zbędnych ofiar – powtarzał mu Ericssen.
- Sprawa wagi państwowej – kontynuował Norweg, a Love rósł w oczach dumny z powierzonego właśnie jemu takiego zadania.

Musił się podporządkować i być cierpliwym. Za to mu płacili. Otrzymał już zaliczkę z obiecanej okrągłej sumy. Tak okrągłej jak bęben maszyny losującej w totolotku. Dodatkowo pokrywali wszystkie ekstra wydatki, łącznie z tymi reprezentacyjno-operacyjnymi, jak nazywał rachunki z baru Parkowego.

– Życie jak w Madrycie – westchnął ukontentowany, tym razem wypychając lewy policzek żując gumą.

O KSIĄŻCE

Komedia kryminalna o przygodach rzezimieszka o ksywce „Love”, który na zlecenie zagranicznej szczy ma wykraść tajemnicę innowacyjnej produkcji grafenu opracowanej przez Teškę – pociągającą i zwariowaną doktorantkę z AGH-u. Starając się, z miernym skutkiem, wykonać intratne zadanie, Love z impetem wkracza w życie nieświadomej niczego dziewczyny, na której losy wpłynie również niespodziewana wizyta tajemniczego gościa.

Ta współczesna powieść tatrzykowska wprowadzi czytelnika w świat widziany oczami drobnego złodziejzaka, jego zlecciodawcy, adoptowanych przez zlecciodawcę – w ramach kontynuacji nazistowskich badań – braci bliźniaków, Marka, który przy okazji znalezienia starych dokumentów zapragnie przeżyć przygodę życia, i wreszcie oczami doktorantki, która w efekcie splotu wszystkich wątków pozna od lat skrywaną rodzinną tajemnicę.

Miejszem spinającym historie wszystkich bohaterów jest Bar Parkowy. Baru, na którym był wzorowany, już nie ma. Ale istniał. W jego żyłach tętniły promile, a w uszach brzmiały niesamowite historie. Tło, którym ten bar się stał, sprawiło, że opisane zdarzenia, choć zmyślone, nie są nieprawdopodobne. Opisana historia przybliży czytelnikowi barowe życie Krakowian. Jednak nie to z pępka Krakowa, gdzie jedna z bohaterek powozi dorożką, lecz to, którego licznie przybywający turyści nigdy nie po-

znają. I uwaga! Czytelnik może odczuwać narastającą wesołość z każdą pięćdziesiątką czystej czy małym piwkiem wznoszonym przez bohaterów.

Akcja tej komedii pomyłek, w której uczestniczą przerysowane, często wręcz groteskowe postaci, najtrafniej została określona przez dziennikarkę Beatę Bialik: „Suspens jak u Hitchcocka, a humor czarny jak pumpernikiel”.

Anna Jarmuła

Zginiesz w południe

Zwłoki leżały ostentacyjnie na środku pokoju konferencyjnego. Magda z całego serca pragnęła wyjść stąd niepostrzeżenie i udawać, że nic nie widziała. Odnalezienie ciała oznaczało kłopoty, a tych wcale nie pragnęła. Poza tym nie знаła żadnego Bednarskiego, który mógłby ją od nich uwolnić. Nie wiedziała, czemu przyszedł jej do głowy akurat Bednarski, ale przeczuwała w tym zwiastun nadciągającej paniki. Miała jednocześnie z tysiąc myśli, co powinna zrobić w tym momencie, jednak ogarnął ją jakby paraliż i nie mogła się poruszyć.

– Jezus Maria, zabiłaś go! – usłyszała wrzask za plecami i to ją odblokowało. Odwróciła się w stronę drzwi, gdzie Klaudia krzyczała ile sił w płucach. Tak głośno, że Magda prawie nie słyszała, jak coś w środku niej bardzo cieszy się z tej śmierci.

Inspektor Zagórski, z papierowym kubkiem przestygłej kawy, szedł przez krakowski Rynek. Liczył na spokojny dzień na komendzie przy wypełnianiu zaległej dokumentacji. Z dala od ludzi, we względnej ciszy, gdzie jego zboląta głowa mogłaby odpocząć, a wnętrzności nie reagowałyby histerycznie na najstabsze nawet przykre zapachy, gęstniejące w parnym powietrzu.

„Szlag by trafił tych psychologów! Akurat dzisiaj postanowili się mordować” klął w myślach, wchodząc w chłodny korytarz kamie-

nicy przerobionej na centrum konferencyjne. Wynajmowało je właśnie pewne stowarzyszenie psychologiczne na międzynarodowy kongres. Na którym jeden psychol wykończył drugiego. Zagórski nigdy nie ufał psychologom, uważał ich za szarlatanów pokroju wróżek i jasnowidzów, natomiast po ostatnich problemach przy badaniach okresowych zniecierpiał ich do reszty.

Przed drzwiami sali, gdzie dokonano morderstwa na jednym z uczestników, czekał już na niego aspirant Grzeszczuk.

– No to dawaj, co już masz, i leśmy z koksem. Dużo tych psycholi do przesłuchania?

– Trochę tego będzie. – Grzeszczuk poskrobał się po trzydniowym zarostie, zastanawiając się, od czego zacząć. – W tej konferencji bierze udział około dwustu osób, ale zajęcia odbywają się w trzech lokalizacjach, więc może wystarczy ograniczyć się do osób znajdujących się w tym budynku. Ale zobaczymy. Zamordowany został Igor Krawczyk zamieszkały w Warszawie. Pracował tu w charakterze wolontariusza przy organizacji imprezy. Ciało znalazła wolontariuszka Magdalena Urbańska z Wrocławia. To znaczy według niej znalazła go już martwego. Bo Klaudia Zarycka z Łodzi darła się w niebogłosy jakoby widziała, iż Urbańska go dusi. No, ale Krawczyk został pchnięty nożem. Więcej szczegółów o tej imprezie dowiemy się od głównego organizatora. Jedzie już z Wawelu. To druga z lokalizacji kongresu. Przywiezie nam grafik, według którego wolontariusze opiekowali się prowadzącymi wykłady oraz salą.

– Jakie wykłady?

– Coś o hipnozie.

– A nie mówiłem? Ci wszyscy psycholodzy to szarlatani! – Zagórski wyraził swój pogląd chyba zbyt głośno, bo kilku urażonych przedstawicieli tego zawodu zaczęło między sobą szeptać z wyraźnym oburzeniem. – Jest tu jakieś miejsce, gdzie mógłbym porozmawiać z tą... jak jej tam?

- Urbańską. Tu obok jest wolna sala, możesz ją wykorzystać.
- OK, to przyprowadź ją, a gdy się zjawi kierownik tego zamieszania, to daj znać.

– To wszystko przez tę głupią grę. – Magda siadła na wskazanym przez policjanta krześle, przyciskając pośladkami dłonie do siedzenia, by ukryć ich drżenie.

– Jaką grę? – Zagórskiemu w koncentracji przeszkadzał już nie tylko brak kolejnej kawy, ale i zbyt długie nogi podejrzaney.

– Integracyjną. Pierwszego wieczoru po przyjeździe, czyli cztery dni temu, poszliśmy na Kazimierz trochę się zintegrować. Większość z nas nie znała się wcześniej, bo pochodzimy z różnych miast. Skoro mieliśmy współpracować dosyć blisko przez kolejnych pięć dni, to postanowiliśmy lepiej się ze sobą poznać. Usiedliśmy w jednej z tych klimatycznych knajpek. Jedno piwo, drugie piwo, ale rozmowa ciągle się nie kleiła. Wtedy ktoś rzucił pomysł, by zagrać w tę głupią grę. Zaczęto się spokojnie, ale w pewnym momencie wyszła ostra jazda po bandzie. Chyba po wódce zaczęliśmy się robić zbyt ekshibicyjnymi. No i powychodziły różne dziwne rzeczy.

– Na czym polegała gra?

– Każdy miał powiedzieć coś, czego nigdy nie robił. W rękę mieliśmy po pięć kartek. Jeśli robiliśmy kiedykolwiek w życiu to, co zostało wspomniane, rzucaliśmy jedną kartkę na stół. Kiedy pozbyliśmy się wszystkich kartek, musieliśmy wypić szota wódki. Wtedy dostawaliśmy pięć nowych do następnej kolejki. I tak w kółko.

– Jakie na przykład padały tematy?

– Na początku takie luźne: nigdy nie byłem w Australii albo nigdy nie jechałem autostopem czy nie skakałem na bungee. Ale potem dotyczyły już bardzo intymnych rzeczy.

– A dlaczego uważa pani, że Igor Krawczyk został zamordowany w związku z tą grą?

– Bo podle oszukiwał.

Zagórski przestał interesować się nogami Magdy i przerzucił uwagę na jej twarz, starając się odczytać ukryty przekaz z mimowolnych drgnień mięśni. Nie odzywał się, czekając, aż sama podejmie temat. Zza okna dobiegały pokrzykiwania niemieckich turystów. Pionowe żaluzje stuknęły o ścianę poruszone zbłąkanym podmuchem.

– Czy będzie panu przeszkadzało, jeśli zapalę przy oknie?

– Czy tu czasem nie ma zakazu palenia w budynku?

– Jest. Ale przy panu nikt nie będzie się mnie czepiał, bo pan z policji.

– No to proszę się nie krępować.

Magda wyjęta z torebki mentolowego vogue'a i podeszła do okna. Przechyliła się lekko na zewnątrz, aby dym nie dostał się do środka. I zaczęła mówić, tak jak na to liczył Zagórski.

– Rzucił kartki na wszystko. Czy to chodziło o narkotyki, czy seks oralny, grupowy, czy msze satanistyczne. Zapewne chciał po prostu wypić całą zrzutkową wódkę. Ale jego skąpstwo i pazerność wyszły później. Wtedy myśleliśmy, że się popisuje. Chociaż pewnie trochę też tak było, bo ciągle dawał nam odczuć nasze prowincjonalne pochodzenie. – Zaciągnęła się mocniej, przetrzymując dym w płucach dłuższą chwilę. – Ktoś w końcu nie wytrzymał i zarzucił mu głośno oszustwo i zachowanie nie fair w stosunku do innych.

– Może pani podać nazwisko tej osoby?

– Nie bardzo. Widzi pan, jesteśmy grupą dosyć doświadczoną życiowo. Karteczki schodziły bardzo szybko. I wódka też. Pamiętam sytuacje, słowa, ale niekoniecznie łączę to z konkretnymi ludźmi.

– Dobrze, to co się stało później?

Zgasiła papierosa o parapet i zaczęła rozglądać się po sali, szukając kosza na śmieci. Wyjął niedopalek z jej palców i wyrzucił przez okno.

– Co było dalej? – ponaglił.

– Awantura.

– No dobrze. Rozumiem. Zachowanie Krawczyka wywołało gwałtowne emocje tamtego wieczoru. Ale jak ta gra może się wiązać z morderstwem kilka dni później? Jaki motyw mógłby ktoś mieć, by zabić drugiego człowieka tylko dlatego, iż ten przyznał się do kilku kompromitujących rzeczy więcej niż inni? Pani rozumowanie jest dla mnie niejasne.

– Bo jeszcze nie skończyłam. Zgodnie z zasadami gry nie oceniamy się i nie wypominamy sobie niczego. Nie komentujemy i nie deprecjonujemy. A on nie dotrzymał umowy. Kolejnego wieczoru znowu poszliśmy na Kazimierz. Igor niby żartem nawiązywał do tego, co się wydarzyło. Pomimo tej ilości wypitej wódki świetnie pamiętał, co kto miał na sumieniu. I nie wahał się tej wiedzy użyć. Niektórych przyszpilał na osobności.

– Czy w stosunku do pani też padały jakieś aluzje?

Westchnęła głośno, niemal ze złością, i po raz pierwszy popatrzyła wprost na inspektora.

– Skłamałabym, gdybym powiedziała, że nie.

– Rozumiem. – Zagórski zastanowił się chwilę, czy pociągnąć ten zapowiadający się interesująco temat, jednak tymczasowo zrezygnował z wchodzenia w intymny świat Urbańskiej. – Podobno to pani znalazła zwłoki. O której dokładnie godzinie?

– Musiałam tam wejść chwilę po dwunastej. Poprzednimi warsztatami opiekowałam się na Wawelu. Zbliżałam się do Rynku, kiedy grali hejnał. Nie śpieszyłam się, bo miałam jeszcze sporo czasu, więc pewnie było pięć po.

– O której skończyły się pani poprzednie zajęcia?

– O jedenastej.

- I szła pani tutaj godzinę?
- Jak już mówiłam, nie śpieszyłam się. Oglądałam sobie Kraków przy okazji. Kupiłam coś do jedzenia. I czas tak jakoś zleciał.
- Dlaczego Klaudia Zarycka twierdzi, iż to pani zamordowała Krawczyka?
- Nie mam pojęcia. Może dlatego, że pochylałam się nad nim, kiedy weszła do sali. Chciałam sprawdzić, dlaczego tak leży. Wpadła w histerię i krzyczała bez sensu.
- Na pewno bez sensu? Czy coś, czego dowiedziała się o pani podczas tej waszej gry, nie nasunęło jej od razu takiej wersji?
- Magda zamknęła oczy z rezygnacją.
- Dobra, powiem, bo przecież pan to i tak sprawdzi. Ja kiedyś zabiłam.

O KSIĄŻCE

Podczas kongresu poświęconego hipnozie psychologicznej zostaje zamordowany jeden z wolontariuszy. Przy jego zwłokach znaleziono kartkę z napisem „Zginiesz w południe”. Dochodzenie w tej sprawie ma poprowadzić inspektor Krzysztof Zagórski, pomimo swojej awersji do psychologów. Główną podejrzaną staje się Magdalena Urbańska. Dziewczyna oszotomiła inspektora nie tylko długimi nogami, ale i szczerym wyznaniem, że już kiedyś zabiła.

Opowiada Zagórskiemu o grze integracyjnej, podczas której pijani wolontariusze wyjawili swoje tajemnice. Sugeruje, że zamordowany Igor wykorzystał zdobytą wiedzę, by szantażować nowych kolegów. Nie ufając obiektywizmowi policji, Magda prowadzi śledztwo na własną rękę, zwłaszcza że wszyscy starają się ją obciążyć winą. Ich drogi krzyżują się więc systematycznie, a wzajemna niechęć powoli topnieje.

Kiedy wydaje się, że wszystko jest już jasne, a przestępca odkryty, dochodzi do kolejnej zbrodni. W brutalny sposób zostaje zamordowany dyrektor kongresu. Inspektor musi ustalić, czy ma doczynienia z jednym

sprawcą, czy jednak z tragicznym zbiegiem okoliczności. Śledztwo prowadzi pomiędzy Krakowem a Wrocławiem, dokąd Zagórskiego wiedzie trop dawnych powiązań pomiędzy drugą ofiarą a podejrzanymi wolontariuszami. Uwikłanie w romans z Urbańską mocno komplikuje mu zawodowe życie.

Maria Karpińska

Poptoch

Fragment powieści *Poptoch*

Rozdział 3

– A więc, jak było? – Agata Młotkowska zaakcentowała „a więc” w taki sposób, jakby właśnie wrócili do nigdy nieprzerwanej rozmowy. Rozmowy, w której jej stosunek do tematu był oczywisty, wyrażony przez samo „a więc” i towarzyszące mu westchnienie. Przyjdzie czas, gdy stosunek ten zostanie wyartykułowany szerzej, jednak na razie zawisł jedynie w powietrzu, dzięki czemu syn państwa Młotkowskich, Stanisław, może lekko wzruszyć ramionami i odpowiedzieć zwyczajnie:

– W porządku.

– Będziesz miał tam dużo pracy? – zapytał ojciec z pełnymi ustami. Rodzina siedziała w obszernej jadalni połączonej z kuchnią nowoczesną wyspą. Przy okrągłym, białym stole jedli kolację złożoną z kanapek i paru ogórków kiszonych przed chwilą przełożonych ze stoika do niewielkiej niebieskiej miseczki. Młotkowscy uwielbiali kanapki. Niczym w reklamie majonezu codziennie wieczorem zasiadali do stołu i jedli przygotowane przez panią domu wymyślne kanapki z przeznaczonego tylko do tego dużego talerza w słoneczniki, zwanego „kanapkowym”. Czasem kła-

syczne, składające się głównie z żółtego sera, szynki, pomidora, ogórka bądź plasterka papryki, czasem fantazyjne czy wręcz orientalne, jak te z niewielką ilością chrzanu, z wędzonym tososem i koperkiem, na koniec skropione cytryną. Jeśli wziąć pod uwagę możliwości wyboru pieczywa, masła czy raczej smarowidła bazowego, wszystkie rodzaje serów, wędlin i warzywnych dodatków oraz warianty dotyczące obróbki termicznej lub jej braku, kanapki okazują się oryginalnym daniem, wymagającym sporej kulinarnej wyobraźni. Czasem (rzadko) na stole państwa Młotkowskich pojawiała się też sałatka czy pikle. Tego wieczoru w niebieskiej miseczce leżały kiszzone ogórki. Być może (ale raczej nie) w ten sposób zamierzano uczcić pierwszy dzień nowej pracy Stanisława.

Stanisław odziedziczył po rodzicach miłość do kanapek. Nie rozumiał ludzi niedbale rzucających na nieświeże kromki pieczywa plaster krojonego żółtego sera z paczki. Swoje własne kanapki przygotowywał starannie. Ze szczególną pieczołowitością rozsmarowywał dobrej jakości masło, ponieważ nie lubił, gdy w jednym miejscu jego warstwa była grubsza niż w innym. Precyzyjnie dobierał warzywa położone na serze (dwa plastry pomidora lub trzy ogórka, nigdy więcej) tak, by nie zsuwały się z pieczywa przy każdym gryzie.

Nie mieszkał z rodzicami, ale uczestniczył w większości wspólnych kolacji. Jego lokum znajdowało się na strychu mokotowskiej willi, nad dwupoziomowym mieszkaniem rodziców. Kiedyś strych stanowił część mieszkania, ale państwo Młotkowscy, myśląc perspektywicznie, zarządzili jego remont wiele lat temu. Wydzielono wtedy odrębne wejście, urządzono malutką kuchnię i całkiem wygodną łazienkę. Stanisław przeprowadził się tam po swoich dwudziestych trzecich urodzinach i w ten sposób zyskał niezależność oraz swobodę, jednocześnie utrzymując bliski kontakt z życiem rodzinnym.

– Jeszcze nie wiem – lakonicznie odpowiedział ojcu i natychmiast poczuł się jak nastolatek, który właśnie wrócił ze szkoły i za pomocą półstówek manifestował wewnętrzną niechęć do dorosłych. Jego rodzice mieli zdumiewającą moc sprawiania, że wchodził w rolę naburmuszonego gimnazjalisty. Poza domem całkiem elokwentny, nieraz wręcz dowcipny, przy rodzicach stawał się mrukiem i siłą trzeba było wyciągać z niego wszystkie informacje. Obie strony – rodzice i syn – zgodnie odtwarzali tę odwieczną grę skąpych dialogów, jakby każda inna forma komunikacji miała zaprzepaścić latami budowane wątki porozumienia.

– Potożę się dzisiaj wcześniej – dodał po chwili Stanisław, po czym wetknął sobie do ust resztę kanapki składającej się z ciemnego chleba z ziarnami, cienkiej warstwy masła, wysokiej jakości sera cheddar, pomidorków koktajlowych pokrojonych w plasterki i prażonych pestek słonecznika. Wstał i wciąż przeżuując, przyjacielsko zamachał do rodziców dłonią, po czym wyszedł na klatkę schodową. Wbiegł po schodach i znalazł się przed wąskimi drzwiami do swojego mieszkania. Mógł zamykać je na klucz, ale zazwyczaj tego nie robił, ponieważ w budynku mieszkali tylko jego rodzice i on, polegał więc na zamku w drzwiach frontowych.

Parę godzin później leżał na plecach w łóżku ustawionym zaraz pod oknem i wpatrywał się w cienie na suficie. Światła latarni i błyski reflektorów przejeżdżających ulicą samochodów ledwo tu docierały. Przez chwilę zastanawiał się, czy dzisiaj ma szansę zasnąć i rozważał poćnięcie środka przeciwbólowego, ponieważ cały dzień niemiłosiernie bolała go głowa. Nie chciał mu się jednak wstawać, przewrócił się więc na bok, zamknął oczy i zrobił coś, co robił niepokojąco często, a co nie najlepiej świadczy o zdrowiu psychicznym Stanisława Młotkowskiego. W myślach przeprowadził sam ze sobą wywiad prasowy.

Wywiad

Siedzą we Wrzeniu Świata na Gałczyńskiego. Stanisław zawsze wybiera to miejsce – łatwo znaleźć w nim ustronny, cichy kąt, a przy tym nie jest ono tak intymne jak jego własne mieszkanie czy bezpośrednia okolica domu.

– Dziękuję, że znalazł pan czas, by się ze mną spotkać – zaczął dziennikarz po włączeniu dyktafonu w iPhone, którego następnie położył na stoliku tuż obok dwóch filiżanek z kawą. Zrobił na Stanisławie dobre wrażenie, zresztą słyszał już o nim wcześniej. Wywiad z NIM, dla TEJ gazety to wielka sprawa. Stanisław odpędza jednak od siebie tę myśl i stara się skupić na możliwie jak najinteligentniejszych odpowiedziach, by uniknąć później nieznośnego uczucia, że mógł powiedzieć znacznie więcej, ripostować znacznie ciekawiej. Znał je aż nadto dobrze.

– Drobiazg. Każda okazja do rozmowy o literaturze sprawia mi ogromną przyjemność – odpowiada pełnym nonszalancji tonem. W ostatnim czasie udzielił trzech czy czterech wywiadów. Nadal takie sytuacje kosztują go sporo stresu, ale z czasem przyzwyczajają się do szumu, jaki powstał wokół jego debiutanckiej powieści.

– Moje pierwsze pytanie dotyczy będzie tego, co robił pan przed napisaniem powieści. Czy mógłby pan opowiedzieć o okresie studiów i o pracy wykonywanej po nich?

– Oczywiście. Moja droga życiowa wyglądała być może trochę nietypowo. – Stanisław zaśmiał się, lecz po chwili zawstydził. To zdanie zabrzmiało, jakby był starcem z solidnym bagażem życiowych doświadczeń na plecach. W przyszłości powinien unikać takich sformułowań. – Studiowałem scenariopisarstwo w Łodzi. Chciałem pisać, ale początkowo bardziej widziałem siebie w filmie. Zresztą wyboru absolutnie nie żałuję: scenariusz to przede wszystkim warsztat, zawsze to powtarzam. Studia zajęły mi ciut więcej niż pięć lat, ponieważ pomiędzy licencjatem a studiami magisterskimi wyjechałem za granicę. Zobaczyłem kawał świa-

ta, uczestniczyłem w paru workshopach... – Jest zadowolony ze swobody, z jaką mówi. Rozsiadł się w fotelu wygodnie, dłońią opartą o krzesło obok lekko gestykuluje, co dodaje jego słowom mocy. Jak na razie wywiad przebiega pomyślnie. – Po przyjeździe do kraju skończyłem studia, po czym wróciłem do Warszawy. Przyznam, że pierwsze lata po dyplomie okazały się trudne. Miałem świadomość możliwości, jakie przede mną stoją, a dzięki mojej sytuacji rodzinnej... – Lekkie chrząknięcie. Chyba nie powinien wspominać o zamożnych rodzicach. To nigdy nie wzbudza sympatii. – ... po prostu miałem ten komfort, by móc rozważać kolejny zagraniczny wyjazd. Mogłem kontynuować edukację gdzie indziej lub też zacząć pracować w zawodzie tu, w Polsce. Przymierzałem się do paru projektów filmowych, parokrotnie zaczynałem pisać scenariusz i przerywałem zaraz po rozpoczęciu... – To nie była prawda, ale precyzja ma znikome znaczenie w wywiadzie. W rzeczywistości Stanisław nigdy nie dotrwał do momentu pisania, rezygnował już na etapie pomysłu. Pierwsze lata po studiach spędził na „szukaniu siebie”, cokolwiek to znaczy. Ogrom możliwości i szans do wykorzystania, jakie się przed nim rozpostarty niczym nieskończony kosmos kolorowych satelitów z neonami krzyczącymi „tędy droga”, paraliżował go. Wpadł w nerwowy impas, z którego nie potrafił wyjść. Dziennikarz nie musi jednak tego wiedzieć. Stanisław niespokojnie poruszył się na krześle. – W każdym razie te pierwsze eksperymenty zniechęciły mnie i dlatego zdecydowałem się przyjąć pracę w niedużej agencji reklamowej na stanowisku copywritera. Postanowiłem zmienić trochę otoczenie, zobaczyć, jak wygląda taka usystematyzowana codzienność pracownika etatowego. Zastanowić się, czy taki styl życia mógłby mi odpowiadać. Dać temu szansę. – Uśmiechnął się zadowolony z tej odpowiedzi.

– To właśnie przy biurku w agencji, wpadł pan na pomysł swojej powieści i tam zaczął pisać, mam rację?

– Dokładnie. Niesamowite, dokąd mogą nas zaprowadzić bezsensowne z pozoru decyzje, prawda?

– Czy kiedy zaczynał pan pracę nad książką, przeczuwał pan, iż pańska powieść zostanie odebrana jako głos całego pokolenia, manifest początku XXI wieku?

– Skąd! Nie przypuszczałem nawet, by kiedykolwiek udało mi się ją wydać, a później że tyle osób ją przeczyta i oceni jako pozycję tak ważną dla współczesnej polskiej literatury. – Znowu sympatyczny, skromny uśmiech. – To dla mnie wielkie zaskoczenie. Poza tym wielu czytelników odnalazło siebie w tej książce, a cóż może sprawić większą przyjemność autorowi? Jeśli literatura ma jakiś sens, to chyba właśnie taki, prawda? Pokazuje nam odbicie nas samych i przynosi ulgę, ponieważ udowadnia, że nie jesteśmy z naszymi problemami sami, a inni ludzie podobnie odbierają rzeczywistość i borykają się z nią w podobny sposób... – Kolejne pytanie miało dotyczyć planów na przyszłość, ale Stanisław poczuł ucisk w czaszce i ból głowy stał się nie do zniesienia. – Pan wybacz, ale musimy przerwać – powiedział, po czym wstał z łóżka i przeszedł parę kroków do części kuchennej, by wypić szklanekę wody.

O KSIĄŻCE

Stanisław chciałby zostać pisarzem, ale wciąż coś staje mu na drodze. Joanna nie wie, czego chce, ale dość dobrze wie, czego nie chce. Jej energiczny chłopak Zygmunt właśnie poznaje smak pierwszych sukcesów. Im większe są ich oczekiwania wobec dorosłości, tym silniejszy staje się popłoch ogarniający tę trójkę przyjaciół wobec nadmiaru możliwości i wyborów.

Z projekcji i marzeń dotyczących przyszłości wrywa ich wiadomość o śmiertelnej chorobie Stanisława. Nagle muszą zmierzyć się ze świadomością zbliżającego się końca. Ta nietypowa sytuacja wystawia na pró-

bę ich przyjaźń, ale i zmusza bohaterów do rewizji nastawienia do życia. Dla Zygmunta choroba przyjaciela stanowi zaburzenie obrazu świetlanej przyszłości, który właśnie zaczął być realny. Dla Joanny staje się wymówką, by kolejny raz odłożyć na bok życiowe decyzje. Dziewczyna zaczyna spędzać z przyjacielem dużo czasu i opowiadać mu zastyszane anegdoty i historie, by w ten sposób odpędzić od niego myśli o chorobie. Niczym opowieści Szeherazady rozmowy Stanisława i Joanny przeradzają się w rytuał tworzący utudę, że dopóki trwa narracja, trwa również życie. W pewnym momencie obydwójce orientują się, iż jest między nimi coś więcej niż przyjaźń. Coś, z czego bardzo trudno jest zrezygnować w obliczu śmierci.

Historia trójki przyjaciół przepleciona jest z pozornie niepowiązanymi z fabułą opowieściami z przeszłości – z dzieciństwa głównych postaci, ich rodziców i bliskich. To właśnie w tej pourywanej, wielopłaszczyznowej narracji kryją się odpowiedzi, których szukają bohaterowie.

Przemysław Koza

Przechodziłem z tragarzami

Fragment książki pod roboczym tytułem *Przechodziłem z tragarzami*

Nienawidzę Krakowa i zimna. Z zimnem nauczyłem się walczyć i wygrywać. Z miastem poradzić sobie nie mogę. Mieszkam w norze na Kazimierzu. Pod drzwiami wiatr przywiewa mi mnóstwo gazet. Ugniatam je, zmiękczam i wkładam sobie pod koszulę. Chłód może się wypchać. Do niedawna cieszyłem się kruczożarnymi, długimi włosami. Kilka tygodni temu sprzedałem je przemysłowi meblarskiemu. Lubię sobie wyobrażać ludzi śpiących na materacach wykonanych z mojego włosia. Dzięki temu mogłem przysłużyć się rozwojowi naszej kapitalistycznej ojczyzny. Poza tysiącem moim atutem jest brzuch, niewiele większy od piłki lekarskiej, chwytne kończyny i błysk szaleństwa w oku. Dzięki niemu nie cierpię głodu, bo ilekroć wychodzę zebrać na Plantach, ludzie syją hojnie groszem. Zależy im, bym się szybko odczepił.

Wiosną Kraków jest nieco lepszy, bo smog dusi z mniejszą siłą. Wiele razy zadawałem sobie pytanie, dlaczego stąd nie wyjeżdżam. I za każdym razem odpowiedź jest banalna: nie mam na to ani pieniędzy, ani ochoty. Lubię narzekać na Kraków, szczerze go nie znoszę, ale nie ruszę się nigdzie, bo wyrobiłem sobie tu już

pozycję. W kręgach żebraczo-pijackich bywam i jestem poważany. Nie chcę odnajdywać się w nowym środowisku.

Pewnego chłodnego październikowego poranka obudziłem się z ulubionym kacem. Kot przybłąda ogrzewał mi stopy, żadnych rachunków do zapłacenia. Świat wydawał się mniej nieznośny. Usłyszałem pukanie do drzwi. Gdybym wiedział, co ono przyniesie, z pewnością naciągnąłbym poduszkę na głowę i udawał, że nikogo nie ma w domu. Kiedy dowlokłem się pod drzwi i spojrzałem przez judasza, zobaczyłem w półmroku listonosza. Wystawiłem głowę, facet cofnął się rażony odorem, ale wręczył mi koperkę i poprosił o podpis w tabelce. Odwrócił się i wypuścił powietrze. Szczerze mu współczułem; ileż to niezawinionego cierpienia musi znosić listonosz?

W liście przeczytałem mniej więcej coś takiego:

Szanowny Panie,

uprzejmie informujemy, iż nasza Klientka – Pani Justyna Wiewióra przypomniała sobie, że może być Pan ojcem jej dziecka. Od razu uspokajamy: Pani Wiewióra doskonale zna Pańską pożątaną godną sytuację finansową, więc nie spodziewa się należnych jej alimentów. Klientka nasza jest też świadoma Pańskiego wrednego charakteru i nie łudzi się, że chciałby Pan poznać swą latorośl. Postanowiła jednak poprosić o Pańską nerkę, która znacząco może podnieść komfort życia dziecka.

Proszę sobie to przemyśleć i spodziewać się dalszych wieści.

Z poważaniem

Zespół adwokacki Jim&Beam

Oczywiście mógłbym napisać, że musiałem usiąść, bo szok po otrzymaniu niespodziewanej wiadomości spowodował stan przedzawałowy. Nic takiego nie nastąpiło. Znalazłem czarną torbę ze złotym napisem „Hugo Boss”. Wrzuciłem do niej całą dobytek

i pospiesznie oddaliłem się na z góry upatrzone pozycje. A raczej bym się oddalił, gdybym takie posiadał. Odczuwałem jednak nagłą potrzebę zobaczenia jakiegoś miejsca położonego daleko od Krakowa. Ucieczka jest moim najdawniejszym sposobem radzenia sobie z problemami. Do tej pory niezawodnym.

Każdy niezawodny sposób musi kiedyś zawieść. Niestety.

Narzucałem prochowiec na boskie ciało, złapałem reklamówkę i ruszyłem bez oglądania się za siebie. Po wyjściu na ulicę nie zdążyłem się zachwycić krakowskim powietrzem, bo cztery silne łapy zacisnęły się na mych ramionach. Łapy należały do milczących, grubych, tyskich facetów. Lubię bliskość i dotyk, więc bez zbędnych protestów dałem się wrzucić do czarnej wotgi.

– Proszę uprzejmie, by obchodzić się ze mną jak z jajkiem – powiedziałem głosem zbyt wysokim, by potraktować go poważnie.
– Nie dalej jak za dwa tygodnie mam być dawcą nerki. Potrzebuję witamin, dobrej diety, miłości i uznania, a nie porwań i bicia.

– A kto tu mówi o biciu? – odezwał się kierowca, jednocześnie włączając się do ruchu. – Miłość zapewnią zaś chłopczy. Prawda, chłopczy?

Chłopczy nie odpowiedzieli. Zacząłem podejrzewać, że są głuchoniemi i od razu zrobiło mi się ich żal. Ileż to klasycznych peret muzyki barokowej musiało pozostać dla nich nieznanymi? Nie wiele brakowało, bym zapłakał nad ich losem. Współczucie wyparowało jak kamfora, gdy obaj złapali po jednym moim uchu i bezlitośnie wykręcili.

– Auć! – wrzasnąłem. – Za co?!

– To konieczne, byśmy skupić całą pańską uwagę – odparł kierowca, zręcznie lawirując pomiędzy pieszymi, tramwajami i samochodami na Krakowskiej. – Będę niezmiernie wdzięczny, jeśli pan postucha, co chcę powiedzieć.

– Zamieniam się w słuch – odpowiedziałem, co nie było do końca prawdą, bo wykręcane uszy trzeszczały jak wysuszone drewno i ograniczały słyszenie.

– Jedziemy na Wawel – mówił głosem ciepłym i życzliwym.
– Czekaj tam na pana Justyna z chorym dzieciątkiem. Nieopodal czakramu rozstawiliśmy namiot – szpital polowy. Sprowadziliśmy kilku profesorów. Właśnie ostrzą i dezynfekują skalpele.

Coś mi tu zaczęło strasznie śmierdzieć.

– Coś mi tu strasznie śmierdzi – pozwoliłem sobie zauważyć, co nie spotkało się z przychylnością chtëpców, którzy wymierzili mi kolejno pstryczki w nos.

Kierowca zignorował uwagę.

– Zrobi pan dla naszego miasta znacznie więcej, niż się spodziewa. Pańskim nazwiskiem będą nazwane ulice, szkoły i przedszkola. Kto wie, może nawet dostanie pan roczny bilet MPK lub kartę parkingową od ZIKiT-u. – Wyraźnie się rozmarzył. – Pański wizerunek znajdzie się na pamiątkowych monetach... Ech, piękna przyszłość przed panem.

„To jakiś wariat – doszedłem do wniosku. – Zostałem porwany przez szajkę psychopatów”. I zacząłem się bać. Obietnica rocznego biletu komunikacji miejskiej może okazać się jedynie błagą bądź wytworem chorego umysłu. Pomyślcie tylko: cały rok mógłbym kursować w kółko liniami przestawnego MPK!

Nie da się ukryć; złapali mnie na haczyk. Jechałem już teraz pełen radosnej nadziei i dziecięcej niecierpliwości. Na Stradomiu nie czekaliśmy w korku, bo pojechaliśmy pasem dla komunikacji miejskiej. Potraktowałem to jako dobrą wróżbę, a jednocześnie domyśliłem się, iż jesteśmy ważni, skoro pozwalamy sobie na taki występki. Przy okazji napawałem się widokiem frajerów tkwiących samotnie w swoich samochodach.

Wawelski plac przed katedrą ozdabiał biały namiot. Przeniesiono go zapewne z Małego Rynku po niedawnym święcie pie-

roga. Kierowca i dwaj chłopcy odprowadzili mnie do wejścia do namiotu, lecz sami nie weszli do środka. Gdy przekroczyłem próg, a drzwi z suchym trzaskiem zamknęły się za plecami, ogarnął mnie półmrok i chłód. Oczy po chwili przyzwyczyły się do małej ilości światła. Zimna nigdy nie sposób oszukać. Trząsem się jak galareta, zacierałem dłonie i kroczyłem wolno w kierunku oświetlonego środka namiotu. Bardziej domyślałem się, niż widziałem ludzi po prawej i lewej stronie. Ją pierwszą poznałem i do niej podszedłem. Justyna, moja wielka niespełniona miłość, stała w snopie światła. Przytuliła i kotysała zawiniątko. Wziąłem je oczywiście za niemowlę; moje dziecko. Ojcowskie emocje pozbawiły mnie najwyraźniej przydatnej w codziennym życiu umiejętności myślenia. Ostatni raz Justynę widziałem i dotykałem prawie sześć lat temu. Szansa na ojcostwo nie była więc oszałamiająco wielka. Podszedłem do Justyny. Z drżącymi mięśniami ucałowałem jej policzek. Gdy to samo chciałem zrobić z czołem milusińskiego, doznałem szoku. Oto w miejscu, gdzie powinna być główka, umieszczono piłkę do siatkówki z wymalowaną na niej białą twarzą klauna i jaskrawym napisem: „Mamy cię!”.

Wypadki potoczyły się teraz zbyt szybko.

Zdążyłem jeszcze tylko zapytać:

– Justynko, co to ma znaaa... – nie dokończyłem, bo znowu ktoś chwycił mnie za ręce i nogi. Wiłem się i wrywałem, ale na nic się to zdało. Przeniesiono mnie na rzęsiście oświetlony stół, siłą rozebrano do naga, a po chwili wysmarowano całego nadmanganianem potasu. Szok i niedowierzanie w końcu odjęły mi siły. Przestałem się bronić. Wtedy na niewielką mównicę, zrobioną z dwóch zbitych skrzynek po jabłkach wszedł gruby i, jak się domyśliłem, ważny jegomość. Ubrany w gronostaje, ze złotym łańcuchem i zadbaną bródką nie pozostawiał wątpliwości, co do tożsamości swej przestawnej osoby. Otóż na mównicę wszedł sam Pan Prezydent – Słońce Małopolski. Od razu wszelkie upo-

korzenia, przemoc i podstęp, doświadczane przeze mnie od kilkunastu minut, wydały się małymi niedogodnościami. Szczęście przebywania w bezpośrednim blasku Majestatu wszystko wygradzało.

– Upadły człowieku – zaczął głosem mocnym i dźwięcznym, podobnym do uderzeń dzwonu Zygmunta – czy zdajesz sobie sprawę, jak wielkie szczęście za chwilę stanie się twoim udziałem?

Pokręciłem głową, bo zaskoczony zapomniałem, że Wielki Prezydent lubi pytania retoryczne.

– Oto za minut kilka – uwielbiam, gdy Władza wpada w ton patetyczny – twoja zdrowa nerka zostanie wycięta i poświęcona na ołtarzu czystości powietrza naszego miasta. Doszedłem do wniosku, przy kilku pochlebnych opiniach członków rady miasta, iż jedynym sposobem oczyszczenia powietrza jest ofiara. Dobrze bowiem, jak mówi Pismo, by od czasu do czasu ktoś umarł za naród.

Spojrzał zza okularów na zebranych i kontynuował:

– Nie obawiaj się, nędzniku! Dzisiaj nie zginiesz. Profesorowie Uniwersytetu Rolniczego swymi sprawnymi, zdolnymi dłońmi usuną ci nerkę. Potem przy pomocy transmutacji, rektyfikacji i sublimacji zamienią ją w aerozol. Rozpylimy go nad Krakowem i tym sposobem raz na zawsze pozbędziemy się smogu!

W namiocie rozległy się frenetyczne oklaski.

„To nie może dziać się naprawdę” – pomyślałem. Owacje здаwały się jednak potwierdzać, że sala wierzy w każde słowo Stońca Grodu Kraka.

Stońce z pobłażaniem uniostło dłoń i uciszyło zebranych:

– Być może niektórzy pożałowania godni malkontenci stwierdzą, że tym sposobem problem smogu nie zostanie rozwiązany.

Wśród obecnych przeszedł szmer niedowierzającego oburzenia.

– Tym żąłosnym opryszkom mogę powiedzieć: powietrze będzie znowu czyste także i dla was! A jeśli wam się nie podoba, po prostu nim nie oddychajcie!

Entuzjazm pod namiotem osiągnął poziom orgazmu. Krzyczeli, darli się właściwie, wyli i gwizdali. Dłonie puchły od okłasków, marnarki, peruki i birety fruwały w powietrzu.

Nagle zapanowała cisza. Prezydent uniósł dłonie jak dyrygent tuż przed rozpoczęciem koncertu.

Pielęgniarka dała mi powąchać fiolkę cuchnącego płynu. Straciłem przytomność.

Odzyskałem ją po kilku dniach w pokoju szpitalnym pachnącym lizolem. W dłoń ktoś włożył mi gazetę. Na pierwszej stronie ogłaszano: „Kraków świętuje kolejny dzień z krystalicznym powietrzem!”.

Nieco niżej napisano o przybywającej do miasta delegacji ONZ, która chce wykorzystać krakowską metodę walki ze smogiem na całym świecie.

Zamknąłem oczy. Po policzkach popłynęły mi łzy.

O KSIĄŻCE

Bohater, przedstawiciel świata krakowskich meneli, otrzymuje list od dawnej kochanki. Kobieta błaga go, by oddał nerkę dziecku – pamiętając ich miłość. Mężczyzna ucieka w popłochu. Niestety zostaje porwany i siłą doprowadzony do miejsca przeszczepu: wzgórze wawelskiego. Tam poniewczasie orientuje się, że padł ofiarą podstępny. Jego nerka została wykorzystana do przygotowania rewolucyjnego aerozolu, mającego oczyścić skażone krakowskie powietrze. Cudem tylko można wytłumaczyć fakt, że operacja nie kończy się posocznicą. Wiarołomna kochanka odwiedza go w szpitalu. Dzięki swym wdziękom i zręcznej manipulacji wciąga człowieka do RNRWKzOHDiC – Ruchu Na Rzecz Wyzwolenia Krakowa z Okowów Historii, Dulszczyzny i Centusiostwa. Organizacja

ma wiele kłopotów. Ten z nazwą jest najmniejszy. Nasz „członek mimo woli” wprowadza ożywczego ducha, organizuje mały sabotaż i zaczyna się świetnie bawić aż do czasu, kiedy ukochana znika. Rozpoczynają się poszukiwania. Jeden z tropów prowadzi do międzynarodowej korporacji osiadłej na chwilę w Krakowie. Bohater zatrudnia się, nie bez przeszkód, na najmniej płatnej posadzie i próbuje dowiedzieć się, czy menedżerowie odpowiadają za zniknięcie Justyny. Stosując nielegalne podstuchy, przestuchując bez żadnej podstawy prawnej, śledczy-z-bożej-taski ustala, że korporacja, choć sama upadła i cyniczna, nie jest schronieniem dla porywaczy. Pewne ślady, strzępy informacji i półśłówka wypowiediane przez znajomych zaginionej kierują zainteresowanie „detektywa” w stronę hermetycznego środowiska szanowanych krakowskich rodów prawniczych i lekarskich, a w końcu dociera on do samych szczytów miejskiego dworu. W finałowych scenach Justyna zostaje odnaleziona. Niemalże przy okazji i nieco przypadkowo na jaw wychodzi groteskowy spisek rządzący miastem. Autor chce nieśmiało, by czytelnik bawił się tak samo dobrze, jak podczas lektury *Przygody fryzjera damskiego* Eduardo Mendozy.

Jakub Statnik

Odśwież

Kiedy kilka miesięcy temu, późnym wieczorem, potrącił mnie autobus, nie przeczuwałem jeszcze, że ten wypadek wpłynie w jakikolwiek sposób na moje życie. Może dlatego, iż uderzenie nie było zbyt dramatyczne. Tamtego dnia jesień wchodziła już w zaawansowane stadium, a po godzinie siedemnastej wielopasmówki jarzyły się sznurami stojących w korkach samochodów. Wyglądało to jak karnawał nocą: pogardzany przez większość mieszkańców Zarząd Dróg i Transportu udekorował ulice, dając nadzieję na przetrwanie okresu pomiędzy barwnym festynem podświetlonych dyń w Halloween i kopcących zniczy we Wszystkich Świętych, a czekającym u samego schyłku roku, skrzącym się od poźłoty Bożym Narodzeniem.

To późnojesienny zmrok, ten, który w przeciwieństwie do dienera, pojawia się zawsze za wcześnie i uzależnia nas od wszelkich świecidetek, lampek i błyskotek. Gdzieś od końca października aż do nocy sylwestrowej chodzimy jak naćpani. Ktokolwiek przy zdrowych zmysłach wyjdzie na ulicę po szesnastej w listopadowy wieczór, ten jest już stracony dla świata. Jeśli tylko złapie bakcyła, będzie krążył od latarni do latarni, od podświetlonej witryny sklepu do marnego reklamowego standu.

To wszystko nie wynika wcale z prostego, matematycznego bilansu. Ktoś mógłby powiedzieć: „Oczywiście! To brak słońca!

Skoro mamy je w nadmiarze wiosną i latem, jesienią i zimą potrzebujemy sztucznych źródeł”. Ale co tak naprawdę dostajemy, kiedy zbieramy się wokół pękatej świeczki w ciemnym pomieszczeniu? Co w rzeczywistości nas rozgrzewa, gdy z rozszerzonymi od głodu źrenicami przebiegamy ulicą pełną neonów?

Dostajemy punkt światła otoczony ciemnością. Świetlisty kopniak w tyłek, zostawiający po sobie tylko fioletowe siniaki. Dostajemy przejeżdżającym autobusem. Bo w sekrecie lecimy na tę ciemność.

Wspomniałem o korkach w mieście, żeby podkreślić wolny ruch aut na ulicach. Rzeczywiście miałem wiele szczęścia, bo autobus wjechał we mnie ospale, jakby od niechcenia. Ocknąłem się i ktoś pomógł mi wstać. Podniosłem głowę i spojrzałem na wyświetlacz na czole pojazdu, jakby mogło mnie interesować, która dokładnie linia chciała wskazać mi drogę do wyjścia. Napis podawał adres końcowy: ŁUKASZEWSKA.

Zacząłem iść w stronę domu, ponieważ zbliżała się godzina spotkania z przyjacielem na Skypie. Kiedy przeszedłem na drugą stronę jezdni i obszedłem dookoła zablokowane ze wszystkich stron rondo, obejrzałem się jeszcze raz za siebie i spojrzałem na żółtoczerwony autobus. Coś nie dawało mi spokoju.

Być może gdzieś w mieście znajdowała się ulica Łukaszevska. Nie miałem nic przeciwko temu. Jednak moje myśli krążyły wciąż wokół znajomej dziewczyny o takim właśnie nazwisku. Przeszedłem kilkanaście metrów dalej, by lepiej przyjrzeć się pojazdowi. Kiedy tak stałem zamyślony, gdzieś za plecami usłyszałem charakterystyczne sapnięcie kolejnej zmęczonej bestii. Odwróciłem się i na wyświetlaczu ponad przednią szybą odczytałem: KRZYSZTOF LUBKA. Cofnąłem się zdziwiony, wpadając plecami na starszą kobietę z torbami pełnymi zakupów. Byłem pewien, że w mieście nie ma żadnego miejsca, które nazywa się tak jak jeden z moich kolegów. Zgarbiony kierowca prawie opierał się czołem o przednią

szybą. Dalej siedzieli lub stali, trzymając się poręczy, pasażerowie. Przyglądałem im się długo, i tak nie mogli mnie zobaczyć z jasnego wnętrza.

W końcu autobus szarpnął i potoczył się w górę ulicy. Ze wszystkich stron zawarczały silniki, jedne krztusząc się, inne ledwie chrząknąwszy wreszcie wracały do życia. Postanowiłem dostać się na przeciwległy kraniec ronda, aby zająć najlepsze miejsce do obserwowania rosnącego zgietku. Pokonałem kilkanaście szpalerów białych pasów i zatrzymałem się, wciąż zaniepokojony i podenerwowany.

Ze zbolatym, zawiedzionym rykiem kolumny rozgrzanych maszyn ruszyły przed siebie. Obte osobówki, pełne wzgardy dla taksiarzy i ich kunktatorstwa, przebiły się na przód, wymijając stateczniejsze SUV-y i minivany. Pomiedzy nimi mydelniczki z innej epoki niczym dzikie kundle trzymały się jezdni jak ostatnich ochłapów życia. Wytężyłem wzrok, a moje serce podskoczyło, gdy zobaczyłem zjeżdżające się zewsząd rozświetlone przegubowce. Kiedy mijaly mnie, skręcając w różne strony i odpowietrzając hydrauliczkę hamulców, kiedy przystawały na przystankach, widziałem wypisane na nich nazwiska moich najbliższych przyjaciół.

Nie mogłem w to uwierzyć, ale moje oczy nie kłamały: autobusy nie jeździły już na pętle. Stały się wehikutami przyjaźni, wiozącymi pasażerów wprost do bliskich. Patrzyłem na znajome nazwiska, które zbliżały się w ciemności i przystawały na chwilę nieopodal, po to, by zaraz ruszyć dalej, zabierając po drodze kolejnych podróżnych. W środku jedni znali się i rozmawiali ze sobą, inni, przeciwnie, milczeli, jakby pogniewani. Kiedy na przystankach zjawiało się kilka pojazdów, ludzie nie mogli się zdecydować i niejednokrotnie podejmowali decyzję w ostatniej chwili, wskakując do środka, kiedy drzwi już się zamykały.

Przez dłuższy czas stałem w miejscu, onieśmielony tym ogromnym poruszeniem panującym na ulicy. Rozglądałem się

dookoła, nie mogąc nacieszyć oczu tym, co widzę. Podeszedłem do jednego z przystanków, skąd przed chwilą odjechała bardzo duża grupa podróżujących i spojrzałem w dół ulicy, czekając na następnego pojazd. Po chwili, gdzieś dalej, samochody zaczęły przesuwac się na lewy pas, jakby robiły miejsce dla auta jadącego na sygnale. Nic nie było słychać. Po chwili z ciemności w dole ulicy wychynął potyskliwy napis: PIOTR PARZYDŁO.

Autobus podjechał powoli na przystanek i otworzył drzwi. Wewnątrz nie widziałem nikogo. Kierowca ze znużeniem patrzył na drogę znad kierownicy. Stałem przez dłuższą chwilę bez tchu, czekając, co się stanie. W końcu, po minucie lub dwóch, kiedy nikt nie wsiadł do środka, mężczyzna zamknął automatyczne drzwi i gładko włączył się do ruchu.

Wsiadłem w WILCZKA i pojechałem do samego końca. W tej sytuacji rozmowa przez Internet nie byłaby w stanie mnie uspokoić. Po drodze zająłem myśli analizowaniem nowego systemu komunikacji. Do Konstatego dotarłem sam. Wielu ludzi wsiadało tylko po to, by przesiąść się na kogoś innego. Jak dowiedziałem się z rozmów, zmieniając pojazdy zgodnie ze znajomościami, można było dotrzeć do celu znacznie szybciej niż odpowiednim dla danej osoby autobusem. Niektórzy rozmyślali się też po prostu i rezygnowali z odwiedzin. Gdzieś po godzinie wysiadłem przed domem Kostka i wchodząc po schodach, przypomniałem sobie, co właściwie mnie tam sprowadziło.

– Co tu robisz? – zdziwił się mój przyjaciel, kiedy zobaczył mnie przed drzwiami. Zawiesiłem płaszcz na kołku przy wejściu i wszedłem do środka. Mieszkanie od progu otwierało się na salon z aneksem kuchennym. Na blacie obok zlewu stała butelka wina, w której tkwił jeszcze korkociąg. Z kanapy zamiauczał w moim kierunku czarny kot.

– Muszę ci opowiedzieć coś bardzo dziwnego – odpartem i usiadłem na ciemnogrnatowej pufie, pod oknem z widokiem na

wiadukt kolejowy. Na biurku Konstantego leżał stos kolorowych magazynów z pięknymi zdjęciami. Pośród lajfstajlowych pism znalazłem również instrukcję użytkowania zajmowanego przeze mnie siedziska. (Według książeczki nazywało się ono „bean bag”).

– Też muszę ci coś pokazać – wtrącił mój przyjaciel, podając mi butelkę piwa prosto z lodówki. Usiadł na obrotowym krześle i podjechał do mnie jak współczesny Fred Flintstone. – Miesiąc temu poznałem na imprezie jedną laskę, ale nic z tego nie wyszło – zaczął, przejeżdżając palcem po ekranie swojego smartfona. – Dzisiaj przeglądałem swoje zdjęcia i znalazłem coś takiego.

Podsunał mi telefon. Zobaczyłem zdjęcie szczupłej brunetki, która ukiadała usta w bezgłośny catus, puszczać jednocześnie oko do kogoś za kamerą.

– Nie ja robiłem to zdjęcie – wyjaśnił Konstanty. – Co prawda jest u mnie, więc mógłbym do niej napisać. To wygląda jak wiadomość. Ale ona nie patrzy na mnie, widzisz? Spójrz.

Stał za moimi plecami i wyciągnął rękę z telefonem nad moim barkiem, tak bym widział zdjęcie pod tym samym kątem, co on.

– Catusje w naszą stronę, ale patrzy w bok. Nie czaję.

Usiadł z powrotem na krześle i znów pochylił się nad telefonem.

– Jednocześnie znalazłem na Tinderze niesamowitą dziewczynę i umówiłem się z nią w zeszłym tygodniu. Mieliśmy pójść na ślimaki i żabie udka, ale francuzi mieli zamknięte. Później okazało się, że jest siostrą mojej bytej.

Przerwał na chwilę i spojrzał na mnie zdziwiony.

– Skąd właściwie się wzięłeś w Krakowie? Przecież powinieneś siedzieć w Łodzi.

Miałem właśnie zacząć odpowiadać na to pytanie, kiedy Kostek powstrzymał mnie gestem dłoni i zaczął nastuchiwać.

– Szura żwirek. Cholerny kuweciarz.

Mój przyjaciel zniknął za drzwiami łazienki, skąd dobiegało już wyczekujące miauczenie kota. Usiadłem na jego krzesło i prze-logowałem się na swoje konto na Facebooku. Obok, na biurku, Konstanty zostawił swój telefon, na którym zdążył jeszcze uruchomić wyszukiwanie kolejnych kontaktów w randkowej aplikacji. W centrum ekranu znajdowała się miniatura jego profilowego zdjęcia z rozchodzącymi się koncentrycznie kręgami, pulsującymi jednostajnym rytmem jak podwodny sonar.

Wyszukałem konto Piotra. Od kiedy popełnił samobójstwo, nic się tam nie pojawiało oprócz budzących niesmak życzeń urodzinowych od podobnych botom odległych znajomych. Zjechałem w dół jego osi czasu, aż nagle rzuciła mi się w oczy niespodziewana aktywność. Tydzień temu: dołączył do wydarzenia „STOP imigrantom w Polsce”. Marsz, jak to marsze, miał odbyć się w Warszawie.

– Ty mały srulu – doleciał do mnie z łazienki głos Kostka.

O KSIĄŻCE

Główny bohater Stefan zostaje potrącony przez autobus. W wyniku wypadku rzeczywistość zaczyna działać na nowych zasadach. Stefanowi pozwala to dotrzeć do starego znajomego Piotra Parzydło, który popełnił samobójstwo. Stefan odkrywa, że jego kolega żyje i ponownie zaprzyjaźnia się z nim. Nie może jednak dowiedzieć się, z jakiego powodu Piotr postanowił w przeszłości z sobą skończyć. Mężczyźni rozpoczynają bardzo bliską relację, a Piotr staje się dla Stefana autorytetem w wielu kwestiach. W trakcie rozwoju tej znajomości przyjaciel Stefana Konstanty próbuje rozwikłać tajemnicę zdjęcia dziewczyny, która rozpoczyna z nim niebezpieczną grę. Podążając za śladami zostawianymi przez nią w mediach społecznościowych, Konstanty zostaje wrzucony w ciąg manifestacji i rozruchów, które wstrząsają całym krajem. Piotr wchodzi w wiele konfliktów ze znajomymi Stefana i zmusza go do ciągłych konfrontacji. Po

któtni obu mężczyzn rzeczywistość zostaje ponownie wypaczona. Stefan poznaje młodego nastolatka – Piotra – i bierze go pod swoje skrzydła. Obecność chłopca drażni jednak przyjaciół Stefana i jego rodziców, a dziecko wymyka się spod kontroli. Kolejne zmiany w mechanice działania rzeczywistości prowadzą do następnych przemian: Piotr staje się kolejno partnerką głównego bohatera, a następnie, kiedy wykreowany świat zaczyna już szwankować, w najmniej odpowiednim momencie zmienia się z powrotem w dziecko. Ta chwila powoduje rozpad wymagowanego świata, wymuszając na Stefanie powrót do rzeczywistości.

Monika Szylar

Przerwane rytuały

Był błydy świt. Sabina stała przyklejona całym ciałem do wewnętrznej strony drzwi wejściowych mieszkania. Wypatrywała przez wizjer wysokiego dwudziestokilkuletniego chłopaka – nowego pracownika firmy doręczycielskiej, który od trzech miesięcy uporczywie rzucił poranną prasę pod drzwi jej sąsiadów zamiast pod dziewiętnastkę, gdzie mieszkała. W oddali usłyszała kroki, a chwilę później suchy dźwięk upadającej pod dwudziestką gazety. Szarpnęła za klamkę.

– Mam cię! – wykrzyknęła, a przerażony chłopak zamarł w pół kroku.

– Obawiam się, że nie na wyłączność – wyszeptał niepewnie, nie wiedząc, czego się spodziewać po kobiecie.

– Drogi chłopcze, mam do ciebie dwie prośby. Zacznę od pierwszej. – Z całych sił starała się przybrać surowy wyraz twarzy.

– Bardzo proszę, madame.

– Na początek bądź tak łaskaw i powiedz mi, pod które mieszkanie na tym piętrze powinieneś trafiać z codzienną „Gazetą Krakowską”?

– Pod dziewiętnastkę, madame.

– Numer 19... Nie inny niż ten? – spojrzała na dwie cyfry widniejące na swoich drzwiach.

– Nie inny – skinął szybkim ruchem głowy.

– Pamiętasz doskonale z pierwszych lekcji matematyki, że liczby 18 i 20 sąsiadują z liczbą 19, ale nią nie są?

– Tak jest, madame.

– Tak jak 19 sąsiaduje z 18 i 20, tak ja sąsiaduję z panią Manią z osiemnastki i panem Kazkiem z dwudziestki. Proszę cię wobec tego... – Wzięta głęboki wdech z zamiarem kontynuowania zdania, ale chłopak wiedział już doskonale, dokąd prowadzi wywód starszej pani.

– Bardzo panią przepraszam. Ale ja tu z rozpędu czasem tak tę gazetę...

– Rozpęd o twarzy dwudziestolatka, bujnej czuprynie i zielonych oczach trzeba koniecznie hamować, mój drogi – rzuciła z przekąsem Sabina, czując jednocześnie unoszący się w rozbarwieniu prawy kącik ust.

Podeszła dziarskim krokiem do drzwi pana Kazka, zabrała gazetę i zwijając ją w rulonik, wróciła pod swoje mieszkanie.

– Podejdz – zainaugurowała prośbę numer dwa. – Pokażę ci, jak to się robi. – Pieczotowicie ułożyła dziennik wzdłuż swojej wycieraczki, wprawiając zielonookiego rozmówcę w jeszcze większe niż dotychczas ostupienie.

Po zatrześcięciu drzwi od środka, rzuciła się w wir porannych obzędów.

– Pralka. Najpierw trzeba włączyć pranie. – Krzątała się po łazience. – Psia kość z tymi cyferkami. – Z przymrużonymi oczami ustawiła programator pralki na odpowiedni tryb. Jeszcze nie zdążyła wyjść z łazienki, a już w myślach wyciągała materac z szafy. Ćwiczyła każdego dnia przed śniadaniem. 10 brzuszków, 10 skłonów, 10 przysiadów, 10 brzuszków... Żwawe ruchy szcztupetego, pomarszczonego ciała szty zupełnie innym torem niż ospate jeszcze, nabierające intensywności myśli. Strumień głosu raz po raz uwalniający jakąś myśl zazwyczaj kierowała w stronę swoich

powierniczek-paprotek – Hani, Dobrawy i Gai, stojących rzędem na białym parapecie okiennym.

– Najlepiej byłoby zasnąć i się nie obudzić. Zasnąć i się nie obudzić. Nie obudzić się. – Miarowo utrwałała tę myśl w głowie, wykonując kolejne skłony. – Nie daj Boże rak albo jakiś inny pajac potrącający ją na przejściu dla pieszych. Złamanie kości miednicy – też nie. Z tego się nie wychodzi prężnym krokiem. Nie daj Boże wojna. Bomba spadająca na kamienicę. Okupacja! – Zagrożenia przepychały się jedno przez drugie, zwiększając tempo coraz bardziej chaotycznie wykonywanych brzuszków. Po chwili galopujące niebezpieczeństwa wtórowały pędzącym już skłonom i przysiadom, torując drogę ku dalszej części poranka – uspokajającemu rytuałowi śniadaniowemu oraz wizyty na targu.

Wyszła z kamienicy, pokpiwając sobie lekko ze wszystkich kataklizmów, które dopiero co wydawały się zagrażać jej życiu. Skręciła z ulicy Basztowej w Długą. Wędrowała nieśpiesznie, mijając nielicznych o tej porze dnia przechodniów. Poranne wiosenne słońce rzuciło pierwsze ciepłe promienie, wyraźnie wyczuwalne na starannie przypudrowanych policzkach. Światło delikatnie zmieniało barwę rzędów kamieniczek ciągnących się wzdłuż ulicy i prowadzących ku alei Słowackiego. Mijane budynki mieniły się pastelami – kredową żółcią, matową pistacją, przybrudzonym różem. Co kilka kroków zadzierała głowę, żeby spojrzeć w otwarte okna lub drzwi balkonowe, skąd wyglądały kocie zaspiane jeszcze oczy, dochodziły zapachy świeżo parzonej kawy, to znów płynęły dźwięki porannej audycji w Trójce czy strzępki rozmowy prowadzonej przy kuchennym stole. Przejeżdżający tramwaj zakotłosał się na torach, zwalniając na chwilę bieg, aby ze wzmożoną werwą ruszyć w kierunku przystanku rysującego się na horyzoncie. Przyspieszyła kroku, jakby chciała podążyć w ślad za niebieskim oddalającym się w szybkim tempie wagonem. Bez większej uwagi

traktowała mijane piekarnie, sklepy z odzieżą, punkty ksero, salony sukien ślubnych, jadłodajnie, biura nieruchomości – wszystkie czekające na przekręcenie kluczy niesionych teraz w kieszeniach, w torebkach i plecakach swoich właścicieli. Zbliżając się do końca ulicy, a tym samym do odwiedzanego każdego ranka placu targowego, widziała już oczyma wyobraźni – tylko o kilka kroków wyprzedzającej rzeczywistość – paletę barw owoców i warzyw, słyszała odgłosy przygotowań krzątających się właścicieli stoisk i pierwsze targowe rozmowy, czuła unoszącą się w powietrzu woń bzu i konwalii, zmieszaną z zapachem świeżo upieczonego chleba.

Myśl o targowych przyjemnościach przecięto jak żyłeta widniejące na liście zakupów słowo „apteka”. Sabina zatrzymała się w pół kroku. Chcąc jak najszybciej mieć tę mało lubianą wizytę za sobą, odłożyła zakupy spożywcze. Weszła do apteki „Bez recepty” odwiedzanej przez tabuny staruszków wychodzących wprost od lekarzy z – paradoksalnie – naręczami białych papierków. Ustawiła się w kolejce, cierpliwie czekając na szorstkie, krótkie „stucham”, rozlegające się co kilka minut w okienku. To rzuciła prawym okiem na kilkunastoletniego chłopaka tępo wpatrzonego w smart-coś wielkości dłoni, to spoglądała w kierunku odwróconej do siebie plecami pary trzydziestolatków zanurzonych w gęstej mieszance pretensji, złości i smutku. Ciszę przerywały jedynie oszczędnie wypowiedane, mało przyjazne słowa, ciskane w stronę kolejnych klientów oraz skrzypienie otwieranych drzwi wejściowych. Rozmyślenia przerwało jej charakterystyczne podrażnienie w nozdrzach, które skłoniło ją do gorączkowych poszukiwań w pamięci wszystkich znanych technik powstrzymywania procesu kichania. Zanim zdążyła przewertować zwoje przeczytanych na ten temat artykułów zarchiwizowanych w głowie, impuls dotarł do mózgu i nakazał otworzyć

usta w akcie samoobrony przed nadciągającym sztormem fizjologicznym. Zwielokrotniona samogłoska „a” wybrzmiąta w najwyższym z możliwych ludzkich rejestrów głosowych i poprzedziła stłumiony dźwięk przypominający wyplucie pestki wiśni w dal, miauknięcie maltańczyka lub nieudolne dmuchnięcie w gwizdek sędziowski. Zanim siedemdziesięcioośmioletnie górne drogi oddechowe powróciły do równowagi, Sabina odnotowała między innymi: głośny rechot smart-nastolatka o pięknych, jak się okazało, błękitnych oczach, wymienione nieme uśmiechy i spojrzenia skłóconej pary oraz wesole huknięcie zza okienka o treści: „Też coś!”. Pomyślała o rozweseleniu wszystkich tych twarzy swoim kichnięciem i choć nie usłyszała ani jednego: „Na zdrowie” czy „Sto lat”, zareagowała:

– Dziękuję, dziękuję.

Wesołą atmosferę ożywił pan Mietek – listonosz, zawsze serdecznie witający nawet najbardziej chmurne twarzązki osiedlowe.

– Pani Sabrrrino, wieści ze świata dla pani uroczej osoby! – zawołał, gdy tylko wszedł do apteki.

Oprócz kartek-wyklejanek od Bronki, nie znalazła w pamięci żadnych adresowanych do siebie przesyłek. Z pewnym niepokojem wzięła od pana Mietka kremową kopertę. Na pozór spokojnie zaczęła milimetr po milimetrze odklejać kartonik. Po chwili można już było dostrzec fragment zawartości.

– Ktoś tu leci w świat – listonosz szepnął tuż nad uchem przeżalonej Sabiny. Reakcja starszej pani, która nigdy nie leciała samolotem i życzy sobie spokojnej śmierci we śnie, jak najbardziej wpisywała się w ramy prawidłowego zachowania jednostki. Turbulencje, ptaki wpadające w silniki maszyny, zderzenie z rosyjskim samolotem wojskowym, pilot leczący się psychiatrycznie, zamachowiec-samobójca, roztrzaskanie o górskie skały albo zatopienie w odmętach oceanów, porwanie – niebezpieczeństwa płynęły

rwącym strumieniem, przedzierając się przez drzwi apteki i wylewając się na ulicę.

Sabina rozerwała nerwowym ruchem kopertę i zaczęła czytać.

O KSIĄŻCE

Historia samotnej 78-latki Sabiny, która z dystansem i z dużą dawką humoru patrzy na świat. Celebrowane z przyjemnością rytuały codzienności zostają przerwane przez rodzinne decyzje o przeprowadzce bohaterki, podjęte za jej plecami. Rozpoczyna się batalia o głos w sprawie własnego losu oraz walka z depczącym po piętach przerysowanym widmem śmierci. Czy Sabina odważy się jeszcze raz śmiało spojrzeć życiu w oczy?

Kurs Kreatywnego Pisania Miasta Literatury UNESCO

W listopadzie dobiegła końca pierwsza edycja Kursu Kreatywnego Pisania Miasta Literatury UNESCO. W trakcie 6 weekendów września i października 16 młodych pisarzy uczyło się warsztatu pod okiem uznanych autorów i specjalistów z branży wydawniczej. Równolegle na łamach portalu *Lubimy Czytać* publikowaliśmy kolejne odcinki kursu pisania online wraz z serią kilkudziesięciu filmów, w których czołowi polscy pisarze dzielą się sekretami swojego warsztatu. Wszystkie materiały online można znaleźć pod adresem pisz.miastoliteratury.pl.

Stacjonarnemu Kursowi Kreatywnego Pisania od początku towarzyszyło ogromne zainteresowanie – otrzymaliśmy ponad 100 zgłoszeń osób z całej Polski, z których na podstawie przesłanych opowiadań wybraliśmy najbardziej uzdolnionych uczestników. W ramach programu obejmującego sześć intensywnych weekendowych spotkań, uczestnicy rozwinęli warsztat, przeżyli spotkania z twórcami-praktykami i zdobyli wiedzę, jak przejść przez cały proces wydawniczy i przebić się ze swoim dziełem na niełatwym rynku książki.

Zajęcia prowadzili czołowi polscy autorzy: m.in. autor kultowych kryminałów Marek Krajewski, nominowany do Paszportu Polityki Wit Szostak, a także autorka popularnych powieści fantastycznych Izabela Szolc. Do tego wiedzę podzielili się eksper-

ci z branży wydawniczej: Magdalena Dębowska z Karakteru, Filip Modrzejewski z GW Foksal, czy Marcin Baniak z Wydawnictwa Literackiego. A oprócz nich agenci literaccy, psycholog twórczości, a nawet specjalista od budowania wizerunku. Wykład mistrzowski wieńczący kurs poprowadził Jonathan Franzen, jeden z najwybitniejszych amerykańskich pisarzy.

Kurs, którego koncepcję merytoryczną opracowały Karolina Macios i Magdalena Zielińska, redaktorki z wieloletnim doświadczeniem, jest elementem programu wsparcia literackich debiutów w Krakowie Mieście Literatury UNESCO. Należy do niego także konkurs umożliwiający autorom wydanie pierwszej książki Promotorzy Debiutów organizowany przez Instytut Książki i Fundację Tygodnika Powszechnego w partnerstwie z Festiwałem Conrada, Krakowskim Biurem Festiwalowym i Tygodnikiem Powszechnym oraz Nagroda Conrada, mająca wyróżnić najlepszych debiutantów i ułatwić im drogę dalszej kariery.

Organizatorem kursu jest Krakowskie Biuro Festiwalowe. Jest on realizowany w ramach programu Kraków Miasto Literatury UNESCO.

Projekt dofinansowano ze środków Narodowego Centrum Kultury w ramach programu Kultura – Interwencje 2015.

Copyright © for texts by Authors, 2016

Copyright © for this edition by Krakowskie Biuro Festiwalowe, 2016

Redakcja tekstów:

Karolina Macios i Magdalena Zielińska

Korekta:

Barbara Skowrońska, Grzegorz Sącz

Projekt graficzny:

Michał Próchniewicz

Skład i łamanie:

Magdalena Kolanko

Wydawca i organizator

Kursu Kreatywnego Pisania Miasta Literatury UNESCO

Krakowskie Biuro Festiwalowe, ul. Wygrana 2,

30-311 Kraków

Dyrektor: Izabela Helbin

Koordynator: Jakub Kulasa

jkulasa@biurofestiwalowe.pl

Strona kursu:

pisz.miastoliteratury.pl

www.miastoliteratury.pl

krakow
CITY OF LITERATURE
UNESCO

kbf ★

**[KULTURA
DOSTĘPNA**


NARODOWE
CENTRUM
KULTURY


lubimyczytać.pl